

Ku niezależności

Autorstwa Jędrzeja Stefanowskiego
Ze zbioru opowiadań „Magia w Naszej Dłoni”

Ezestea, wyspa na wschód od Kaistlanii. Rok 995 od zesłania Pana.

Czarodziej zamknął oczy i spróbował opanować wzburzony żołądek. Mimo licznych podróży jakoś nie potrafił przywyknąć do morskiej żeglugi i znosił ją jedynie dzięki uporczywej determinacji. Niestety na Wyspach Anteor, jak zresztą łatwo dało się domyślić, nie szło jej całkowicie uniknąć. Ku ubolewaniu niektórych.

Mag ostatecznie otworzył oczy i spojrzał na cel, do którego statek powoli się zbliżał. Ezestea nie powalała widokami, prócz niewielkiego portu i brukowanej drogi, składała się głównie ze skał i kamieni. Nic dziwnego, że nie została nigdy silnie skolonizowana. Według informacji czarodzieja znajdowały się na niej jedynie dwie wioski, których mieszkańcy zresztą ledwo wiąźali koniec z końcem. Trudne życie, ale dla kogoś, kto chciał znaleźć się z dala od wielkiej polityki, chyba idealne.

Statek tymczasem wpłynął do portu, uwalniając maga od ponurych przemyśleń. Zszedł on niemal natychmiast ustawioną przez marynarzy kładką i znalazł się bezpiecznie na brzegu. Wówczas podszedł do niego bliżej nieokreślony urzędnik portowy:

— Pana godność? — spytał, otwierając niewielki brązowy dziennik.

— Velirius Karen — odparł czarodziej, odbierając jednocześnie swoje rzeczy od tragarzy.

— Proszę mi wybaczyć, ale zmuszony jestem prosić o potwierdzenie tożsamości — stwierdził tamten, a gdy tylko ujrzał pokazany przez rozmówcę sygnet, dodał prędko — Dziękuję. Witamy ambasadora na Ezestei. Wszystko zostało już opłacone, także kosztami proszę się nie martwić. Życzę miłego pobytu.

Velirius kiwnął jedynie głową i po chwili ruszył w kierunku zabudowań z zamiarem wypożyczenia konia. Nie wiedział bowiem dokładnie, jak daleko znajduje się cel jego wędrówki. Nagle jednak zastąpiła mu drogę jakaś kobieta, nieco zaskakując przyzwyczajonego do ustępujących mu miejsca ludzi czarodzieja.

Wyglądała na wojowniczkę. Dobrze zbudowana, wysoka, w utwardzonym skórzanym pancerzu i przewieszonymi po bokach dwoma mieczami. Z twarzy natomiast przypominała typową Kaistlankę. Jej jasna cera znakomicie komponowała się z krótkimi blond włosami, a głębokie niebieskie oczy tylko podkreślały surową urodę charakterystyczną dla mieszkańców Kahvelu.

— Pan Karen jak mniemam? — odezwała się, przyjmując nieco bardziej oficjalną postawę. — Litta Melgotez, zostałam przysłana, aby zadbać o pana bezpieczeństwo.

— Nie sądzę, abym potrzebował ochroniarza... — odparł mag, nieco zaskoczony stwierdzeniem rozmówczyni.

— Przykro mi, ale wykonuje królewskie rozkazy. Uznano, iż ambasador Kaistlanii nie powinien udawać się podległe terytorium samotnie. Zarówno z powodów bezpieczeństwa, jak i podkreślenia własnej rangi. — Tak rzekłszy, wyjęła z torby nieco wygnieciony zwój, opatrzony królewską pieczęcią. — Mogę oczywiście potwierdzić swoje słowa.

Velirius odebrał dokument, złamał pieczęć i przeczytał szybko treść. Następnie westchnął przeciągle. Wątpił, aby pomysł pochodził bezpośrednio od króla, raczej od jednego z jego uporczywych urzędników bądź doradców. No ale nie sposób było w tym momencie zignorować zaleceń. Spojrzał jeszcze raz na wojowniczkę, kręcąc jednocześnie głową z rezygnacją.

— Czy bogowie naprawdę muszą wszystko utrudniać... — wyszeptał prawie bezgłośnie, a potem dodał — Niech będzie. Skoro takie rozkazy...

— Wyczuwam pańskie niezadowolenie. Czyżby przeszkadzał panu fakt, że jestem kobietą?

— Raczej fakt, że jesteś ode mnie o głowę wyższa. — Rozmówczyni parsknęła rozbawiona. — I nie mów do mnie proszę per pan, bo staro się przez to czuję.

— Jak sobie życzysz — odparła, ruszając z wolna za magiem. — Nie przejmuję się jednak mną zupełnie. Mam świadomość, że dla czarodziei rozmowy są niezwykle ważne, dlatego uszanuję wszelką wymaganą prywatność i nie będę się wtrącać, ani specjalnie słuchać. Fachowych dyskusji zresztą i tak nie zrozumiem. Proponuję, abyś traktował mnie po prostu jak cień.

Velirius kiwnął głową, uwzględniwszy ostatecznie kobietę w swoich planach, a następnie spytał, zupełnie zmieniając temat:

— Jak daleko do ruin?

— Pół godziny drogi. Mniej, jeśli byś się śpieszył.

— W takim razie odpuśćmy sobie konie... Spacer zresztą dobrze mi robi na tę przeklętą chorobę morską.

Weszli na trakt. Litta nie odzywała się niepytana, więc mag mógł w spokoju oddać się rozmyśleniom. Przez kilka minut kontemplował mijany krajobraz, lecz ostatecznie oddał się nieuniknionemu i skoncentrował myśli na zbliżającym się spotkaniu.

Większość czarodziei długo czekała na podobny dzień, Velirius zresztą też, choć z zupełnie innych przyczyn. W przeciwieństwie do swych kolegów po fachu, zwabionych tutaj przez ciekawość bądź ekscytację, on miał plan do zrealizowania. Jego część zresztą była już za nim. Zdobycie rangi ambasadora okazało się całkiem proste. Kaistlancki król, z którym utrzymywał dobre kontakty, chętnie wyświadczył mu tę drobną przysługę, odpłacając się za pomoc sprzed czterdziestodni. Aczkolwiek jak się chwile wcześniej okazało, mag nie zdołał przewidzieć wszystkich następstw.

Dopilnowanie, aby większość zainteresowanych przybyła w tym samym momencie stanowiło większy problem. Velirius znał organizatorów ekspedycji badawczej, w końcu całość została powierzona Anarchijskiej Akademii Magii imienia Ringa Senelina, do której sam niegdyś uczestniczył. Przekonanie kilku starych

znajomych do niewielkiego ujednolicenia terminów zajęło mu jednak ponad dziesięćdziesiąt dni. Na szczęście jego wysiłki zostały wynagrodzone, prawie osiemdziesiąt procent odwiedzających miała być obecna właśnie tego dnia. Pozostawało jedynie również się tutaj pojawić, co ku ubolewaniu Veliriusa oznaczało podróż morską. No ale w końcu... wszystko było gotowe.

Po jakimś czasie, według stanu wiedzy maga, znaleźli się już niemal u celu. Ruiny wraz z obozem badawczym miały leżeć tuż przed nimi, za niewielkim wzgórzem. Na trakcie zresztą zrobiło się z tego powodu nieco bardziej tłoczno od mijanych tragarzy i posłańców. Czarodziej zatrzymał się i z zamyśleniem spojrzał na rozciągający się na dole ocean.

Jak na razie jego plan działał, lecz z pewnością największa przeprawa czekała go w kluczowym momencie. Początkowo zamierzał sobie wszystko rozpisać, ale ostatecznie uznał, że magów najlepiej przekonuje się metodą aktywnej dyskusji, a nie monologu. Dlatego też zdecydował się raczej improwizować, choć temat poznał dogłębnie.

Nagle, kiedy już chciał ruszyć w dalszą drogę, zaskoczył go niespodziewany, aczkolwiek dobrze znany napad bólu. „*Mrok! Zagrożenie! Ciemność! Niebezpieczeństwo!*” krzyczała krew w jego żyłach, mimowolnie przemawiając do umysłu. Niemalże utracił równowagę przez ten atak, co mogło się skończyć spadnięciem z klifu, ale na szczęście w porę zdążył opanować instynkty.

— Coś się stało? — spytała Litta, obserwując czarodzieja z uwagą.

— Choroba morska — wyjaśnił prędko Velirius, chwytając się dla niepoznaki za brzuch. — Chyba mi jeszcze nie do końca minęła. No nic. Chodźmy dalej.

„Co u licha...” pomyślał, marszcząc brwi. Rozejrzał się wokoło natychmiast, ale niczego podejrzanego nie spostrzegł. Wszędzie panowała cisza i spokój, nie licząc może innych podróżników na drodze.

— Przeklęty dar matki... — wyszeptał, tłumiąc inne określenia.

Nienawidził go. Ilekroć znalazł się w pobliżu maga ciemności, nekromanty, wyzwolonego czy jakiegokolwiek istoty mroku, natychmiast aktywował mu się wewnętrzny system ostrzegania przed niebezpieczeństwem. Kiedyś nawet próbował się go pozbyć, szukając po całym Królestwie Anarchijskim ksiąg poświęconych temu tematowi, lecz jego próby spełzły na niczym. To z czym się urodził, miało z nim pozostać do końca życia.

W pamięci szybko przewertował potwierdzonych uczestników spotkania. Nie pamiętał oczywiście wszystkich, ale być może któryś z nich pomógłby rozwiązać zagadkę. Niestety żaden z rozważanych nie posiadał jakichś większych skojarzeń z mrokiem. Może tym razem instynkt go zawiódł?

Velirius, bardzo światowy człowiek, utrzymywał oczywiście kontakty z magami ciemności, analogicznie zresztą jak z drugą stroną. Czarodzieje mroku, co już wcześniej zauważył, nie różnili się specjalnie od innych. Rzecz jasna, sporą odmianę stanowiła kwestia kultury, ale akurat swoje wizyty w Mrocznym Cesarstwie wspominał bardzo dobrze.

Jednakże Ezesteia pozostawała pod kontrolą Królestwa Kaistlanii. Obecność na niej mroku w owych czasach wydawała się czarodziejowi co najmniej dziwna. Ostatecznie, nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi, porzucił temat i wrócił do własnych planów. W tej chwili były dla niego o wiele ważniejsze.

Chwilę później dotarli w końcu do celu. Beładne obozowisko złożone głównie z namiotów otaczało kręgiem wyżłobiony w ziemi kanion, w którym zresztą umieszczono tyle wiszących mostków, drabin i schodów, że ledwo dało się dno zobaczyć. Mimo to czarodziej po chwili zdołał dojrzeć ciemne, ciosane ściany ruin pradawnych, widniejące niemal na samym dole. W samym obozie natomiast kręciło się pełno ludzi, głównie tragarzy i innych pracowników fizycznych. Niemal bez przerwy przenoszono znalezione obiekty, porządkowano zapiski bądź wydawano narzędzia. Zgodnie z wiedzą Veliriusa, wykopaliska zakończyły się kilka dni wcześniej, i teraz pracowników czekał długi okres analizy i badań odkrytych przedmiotów. Czarodziej rad był, że zamieszanie obozowiska zupełnie go nie dotyczyło.

Zatrzymał się spokojnie, przewidując jakąś poprzedzającą wejście weryfikację tożsamości lub coś podobnego, nim jednak podszedł do niego ktokolwiek z członków ekspedycji, zza pierwszego namiotu wyłoniła się znajoma twarz.

— Ver! — zawołała radośnie kobieta, po czym dała mężczyźnie delikatnego buziaka w policzek. — Jesteś w końcu! Bałam się, że już nigdy nie trafisz.

— Witaj Katrilo. Czemu nie jestem zdziwiony, że witasz mnie jako pierwsza. Aczkolwiek znowu zaczęłaś zdrabniać moje imię, nawet jeśli pięć razy już wspominałem, jak bardzo tego nie lubię.

— Aj, bo ledwo daję radę je wymówić — odparła czarodziejka rozbawiona i pokierowała przyjaciela za sobą. — Jest trochę skomplikowane.

— Nic dziwnego. Matka wybierała. Ciesz się, że nazwisko po ojcu. A co słychać u rodziny? Córka wyzdrowiała?

— Tak, teraz diwalerię leczy się już bardzo skutecznie. Mimo to mój mąż i tak wolałby, gdybym odpuściła sobie wyjazd. W skrócie nic nowego. Bardziej mnie interesuje co u ciebie. No już, pokaż się uzdrowicielce.

Velirius, wyraźnie rozbawiony czekał, aż Katrila wykona swoje zwyczajowe szybkie badanie magiczne. Jej drobne zboczenie zawodowe sprawiało, że bała się o zdrowie większości bliższych znajomych i nie omieszkała wykorzystać sytuacji na uśmierzenie swych lęków.

— Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku, nie licząc drobnej choroby morskiej, której chyba nie unikniesz. Ale na Bezimiennego, jak ty młodo wyglądasz! Trzydzieści cztery lata, a nadal dwudziestolatek...

— Z tym akurat nic zrobić nie mogę — odparł Velirius z przepraszającym uśmiechem.

— Wiem. Mimo to zazdroszczę.

— Nie masz czego. Nic jeszcze nie straciłaś ze swojej urody.

— W tym zdaniu kluczowe było słowo „jeszcze”. — Oboje roześmiali się lekko.

— Ale wystarczy bzdur, nie po to mnie tutaj ściągnęłaś, abym cię jedynie powitała.

— Ja cię nigdzie nie ściągałem. Sama chciałaś przyjechać. Po prostu na tym skorzystałem.

— Niech ci będzie. Rozeznałam się w sytuacji, jak prosiłeś. Czułabym się lepiej jednakże, gdybyś powiedział, o co dokładnie chodzi.

— No więc mam pewien plan...

— Oczywiście. — Kobieta przewróciła oczyma z westchnieniem. — Zawsze go masz. Jesteś człowiekiem wiecznych planów i ich realizacji Ver. W dodatku najczęściej wciągasz w nie swoich znajomych, nie bacząc na to, czy im się to w ogóle podoba. W każdym razie... Co dokładnie zamierzasz?

— Chcę przedstawić magom pewną ideę.

— To im się spodoba. — Czarodziejka kiwnęła głową w zamyśleniu. — A przynajmniej będzie miłą odmianą wśród ciągłego zwiedzania. Jaką ideę?

— Wolałbym się nie powtarzać, więc dowiesz się wieczorem.

— A czemu tutaj? W sensie... Podróż przez połowę Wysp Anteor tylko po to, aby coś ogłosić? Nie lepiej gdzie indziej? Przykładowo w naszej Akademii Magii?

— Absolutnie nie — odparł Velirius stanowczo. — Tam przecież prawie sami Anarchijczycy. Akademie przestały dokonywać wymian adeptów po upadku Cesarstwa. A ja chce dotrzeć do jak największego grona słuchaczy.

— Lecz dlaczego tutaj?

— Ostatnio trudno zebrać wielu magów w jednym miejscu. Sojusze się porozpadały, wybuchły wojny, a niektóre państwa się zaczęły się totalnie izolować. Nie ma wydarzenia, które zbierałoby nas wszystkich, niezależnie od narodowości.

— A Wielki Turniej w Shandarii? Jest w tym roku, mogłeś poczekać do dnia magii.

— Tam skupiają się ludzie zainteresowani głównie magią bitewną — odparł czarodziej, obserwując pracownika czyszczącego dziwne kamienne przedmioty. — A ja szukam czegoś, co zebrałoby różnych magów. Zaklinaczy, klątowników, kapłanów... — wymieniał, aż w końcu kiwnął na nią na zakończenie — ...uzdrowicieli.

— A więc wybrałeś nowo odkryte ruiny pradawnych — odparła kobieta, uśmiechając się szeroko — które obecnie przyciągają naszych kolegów po fachu niczym płomyk świecy ćmy. Sprytnyś, ale i miałeś wielkie szczęście. Rzadko zdarza się podobna okazja. No i z jakiegoś powodu powalająca większość przyjechała niemal w tym samym momencie. Chyba że i w tym maczałeś palce...

— Przeceniasz moje możliwości.

Nagle ktoś zawołał Katrile i machnął na nią, aby podeszła. Czarodziejka ruszyła we wskazanym kierunku, dodając na odchodnym:

— Pogadamy później. Poinformuj o swojej wizycie zarządcę obozowiska. On przekaże wszystko odpowiednim osobom.

Gdy tylko znikła za najbliższym namiotem, nagle obok Veliriusa jak spod ziemi wyrosła Litta. Mężczyzna musiał przyznać z lekkim zaskoczeniem, że wojowniczką jest naprawdę dobra. Zupełnie zapomniał o jej obecności, a ona zachowując odpowiedni dystans od rozmówców, kulturalnie mu nie przypominała.

Nie marnując czasu, mag podpytał przechodzącego obok tragarza, a następnie od razu udał się we wskazane miejsce. Przed dość dużym namiotem rozłożone zostało niewielkie biurko. Walające się po nim papiery sygnalizowały, że ekspedycja trwa już od dłuższego czasu. Niestety siedzący przy nim człowiek okazał się zajęty dynamiczną rozmową z jakimś wysokim magiem.

— Ile razy mam powtarzać? Ruiny nie są bezpieczne! — Velirius natychmiast zorientował się, iż dyskutujący czarodziej był elfem. Poczuł nieprzyjemny uścisk w żołądku z powodu złych wspomnień.

— Zapewniam, że sprawdziliśmy dokładnie cały teren. Łącznie z podziemną częścią. — Mężczyzna będący prawdopodobnie zarządcą obozowiska, gestykulował uspokajająco. Wyglądał jakby miał dość całej sprawy. Podobna sytuacja musiała mieć już miejsce wcześniej. — Zero zakłęb aktywnych, wszystko oczyszczone. Ręczę za całkowite bezpieczeństwo.

— Mam gdzieś co zrobiliście i co pan gwarantuje. Wyczuwam mrok przelewający się przez te ruiny, kryjący się pośród ich ścian. Musicie natychmiast zarządzić ewakuację, zanim komuś stanie się krzywda!

— Przeprowadzone przez nas badania nie wykryły aktywności mroku. — Zarządca pozostawał niewzruszony. — A na liście dotychczasowo zarejestrowanych gości, nie figuruje żaden mag ciemności. Pańskie informacje są mylne.

— Moje informacje? Jestem elfem, głupcze! Ja po prostu to czuję!

— Odczucia niestety nie stanowią dla mnie żadnego dowodu. Gdyby jednak odkrył pan coś niepokojącego, proszę natychmiast się do mnie zgłosić.

Czarodziej ukrył twarz w dłoniach i wymamrotał po elficku:

— Boże wojny, czemu zesłałeś tego idiotę na moją drogę...

Velirius, doskonale znający zarówno elficki, jak i sześć innych języków, parsknął śmiechem, ale opanował się natychmiast.

— Jeżeli się panu u nas nie podoba, wciąż może pan wyjechać. — Rozmówca zaczął porządkować papiery, chyba uznając rozmowę za zakończoną. — Nikogo tutaj nie przetrzymujemy na siłę.

— Wyjechać? — Elf pokręcił głową z gniewną rezygnacją. — I zostawić was na pastwę ciemności? Ktoś będzie musiał z nią walczyć, gdy się ujawni. Na końcu podziękujecie bogom za to, że zostałem. Tyle na temat.

Czarodziej odszedł szybkim krokiem, ustępując tym samym miejsca nowo przybytemu. Velirius zbliżył się do zarządcy i rozpoczął rozmowę:

— Bezimienny Bóg z tobą. Velirius Karen, o ile dobrze zrozumiałem, powinienem się do pana zgłosić. — Tak rzekłszy, ukazał rozmówcy sygnet.

— Ach pan Karen. — Mężczyzna aż wstał z krzesła. — Miło mi ambasadora poznać. Przygotowaliśmy już pańską kwaterę. Zaraz poinformuje też odpowiednich ludzi o pana przybyciu.

— Dziękuję.

— Ach chwileczkę... Kim jest pańska towarzyszka?

— Litta, moja ochroniarz.

— Nie otrzymałem informacji o ochroniarzu...

Velirius wzruszył obojętnie ramionami. Wymijające rozkazy, różne pomysły i plany. Dwór królewski roił się od nich i często ostatecznie nikt niczego nie wiedział. W królestwie Anarchijskim zresztą sytuacja wyglądała podobnie.

— Z pewnością znajdzie się dla niej dodatkowe miejsce.

— Oczywiście. Wszystko zorganizuje. Zaraz każę komuś pana oprowadzić.

— Nie trzeba. Gdzieś tu się kręci moja znajoma, ją o to wymęczone.

— Jak pan woli.

Velirius pożegnał się z zarządcą i ruszył w kierunku kanionu. Kilka chwil później zdołał odnaleźć Katrillę. Najwyraźniej właśnie skończyła załatwiać swoje sprawy.

— O, jesteś — rzekła, spostrzegłszy przyjaciela. — Zameldowany?

— Tak. Teraz byłbym wdzięczny, gdybyś dokładnie mi wszystko wyjaśniła. Gdzie jest reszta magów?

— W ruinach — odparła prawie natychmiastowo.

— W ruinach?

— Tak. Tam zresztą rozłożono stoły i jedzenie. I tam mamy kwatery.

Czarodzieje nalegali, aby przeprowadzono to w ten sposób. Chyba chcą pozostawać „blisko”.

Velirius westchnął przeciągle, nieco zniesmaczony podejściem kolegów po fachu, ale nie komentował.

— A kto będzie?

— Nie spisywałam sobie nazwisk, ale sami wpływowi więc chyba cię zadowolą. Głównie Anarchijczycy. Prócz tego kilku Kaistlanów, Shandarian i Kalwadorczyków. I jeszcze jakiś Kael-Kirian.

— Elf? — Mężczyzna natychmiast przypomniał sobie kłótnie sprzed kilkunastu minut.

— Tak. Wiedziałam, że cię zainteresuje, więc zapisałam nazwisko. Inaczej zresztą nie byłabym w stanie go wymówić. — Czarodziejka wyjęła niewielkie zawiniątko i przeczytała z trudem. — Ealian Elieilijas, jeśli ci to pomoże.

— Zaraz... — Nieprzyjemny uścisk w żołądku ponownie dopadł czarodzieja, tym razem ze zdwojoną siłą. — Ten Elieilijas? — spytał, nie mając żadnych problemów z elfickim nazewnictwem.

— Ten?

— Słynny zaklinacz. Dziedzic Melenwila Elieilijasa. Skandal ze zdradą w jednym z najznamienitszych rodów. Kochankowie spaleni na stosie. — Velirius rzucał naprędce hasła mające pomóc towarzysze. — Naprawdę nic ci nie świta?

— Nie, ale jeśli zaklinacz to chyba ten, bo jego kwatera obwieszona jest dziwnymi amuletami, przyrzędami i tym podobnymi.

— A co ty robiłaś w jego kwaterze? — Mężczyzna uniósł wysoko brwi.

— Absolutnie nic. — Kobieta zaczerwieniła się lekko.

— Twoja ciekawość cię zgubi Katrilo.

— Prędzej niż ciebie twoje plany?

— Cóż... zależy czy się powiodą.

Ruszyli w głąb kanionu, schodząc po specjalnie do tego ustawionych drewnianych schodach. Teraz już o wiele lepiej dało się zobaczyć ruiny pradawnych, tkwiące w skałach niczym żyły w ludzkim ciele. Wyglądały na wykonane z tego samego kamienia, z którego składały się same klify, ale ilość naniesionych płaskorzeźb i ozdób, sprawiała, że nie sposób ich było przeoczyć.

Nagle czarodziej potknął się i przewrócił, ponownie zaatakowany przez nagły ból. „*Strach! Wróg! Mrok! Strzeż się!*” przemawiały instynkty do jego umysłu. Chwycił się za głowę, próbując uśmierzyć zalewające go informacje, lecz tak samo, jak się pojawił, ból zniknął.

— Nic ci nie jest? — spytała Katrila, podchodząc do przyjaciela. Z jej perspektywy musiało to wyglądać na zwykłe potknięcie.

— Tak... tylko trochę się poobijałem. Szczęście, że schody nie są strome.

„Na Pana...” pomyślał czarodziej, podnosząc się z ziemi „Jeśli ten Kael-Kirian też to czuje, to nie ma mowy o pomyłce. Gdzieś w pobliżu ukrywa się mrok. Zarządca jednak wydawał się taki pewny swego... Ich badania powinny go przecież wykryć...”

— Tymczasem — rzekła Katrila, nieświadoma przemyśleń przyjaciela. — Opowiedzieć ci może coś o ruinach?

— Szczerze mówiąc, nie jestem specjalnie zainteresowany — stwierdził Velirius, otrzępując się z kurzu. — Ale wiem, że połowa dyskusji będzie właśnie ich dotyczyć, więc chyba nie mam wyboru. Opowiadaj.

— Odkryto je dwa czterdziestodnie temu. Robota Kaistlanów, lecz badania powierzyli naszej, anarchijskiej Akademii Magii, bo czarodziei na Kahvelu jest już niewielu, a kaistlancki król chciał, aby wszystko zostało zrobione porządnie. Tak więc praca trafiła się nam.

— Czemu dopiero teraz? Pytam o odkrycie. Większość ruin pradawnych została zbadana ponad tysiąc lat temu, w Erze Ciemności. Z kilkoma wyjątkami w Erze Światła. A tu nagle nowe ruiny? Po ilu latach bez odkryć? Trzystu?

— Czterystu — doprecyzowała kobieta. — Odpowiedź tkwi w otoczeniu. Rozejrzyj się. Tego kanionu wcześniej tutaj nie było. Prawdopodobnie otworzyło go trzęsienie ziemi albo jakieś eksperymenty magiczne. A wyspa ma mało mieszkańców, nikt nigdy nie analizował jej podziemi, bo i po co? Nie zamierzano stawiać tutaj większych budowli.

— Czy badacze znaleźli coś ciekawego?

— Zależy. Według nich zapewne tak, lecz patrząc bardziej globalnie? Masę zakłęb, ale niestety wszystkie już od dawna znane. Do tego przepowiednię. Nasza Akademia już ją oczywiście analizuje. Inne zresztą też.

— Typowe. Istnieją dziesiątki wciąż niezrozumianych przepowiedni, ale wszyscy magowie świata rzucają się na właśnie na tę jedną. Bo nowa.

— Ludzie lubią nowości...

Dotarli do wejścia. Do ścian mrocznego korytarza przymocowano specjalne pojemniki ze świecami, których jarzące się płomyki nadawały ruinom wyjątkowy

klimat.

— Czemu nie użyli zaklętego światła? — zdziwił się Velirius.

— Bo aura budowli nie pozwala. Świeci ono kilka godzin, ale potem gaśnie samoistnie. Zwykły ogień okazał się skuteczniejszy.

Weszli do środka. Oczom czarodzieja ukazały się dziesiątki symboli, przywracające wspomnienia ze studiów w Akademii Magii. Przejechał po kilku z zamyśleniem, ale prędko stracił zainteresowanie. Nie z powodu ruin tutaj przybył. Chwilę później znaleźli się w nieco większym pomieszczeniu. Klasyczne anarchijskie meble tworzyły niesamowity kontrast z przedwiecznymi zabudowaniami, lecz jasno wskazywały na swój cel. Miejsce przerobiono na biuro, którego właścicielka zresztą właśnie odwróciła się od regału z książkami.

— Irianna Jenvil, główna badaczka i przewodnicząca ekspedycji — przedstawiła kobietę Katrila.

— Velirius Karen. — Mężczyzna skłonił się uprzejmie.

— Ach, Ambasador Kaistlanii. Witam serdecznie. Oczekiwałam pana. — Czarodziejka wyglądała na nieco ponad czterdziestkę, lecz w jej oczach tlił się świetlisty błysk wigoru, charakterystyczny dla osób dużo młodszych. Prawdopodobnie odkrycie wprawiało ją w wielkie podekscytowanie. — Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

— Wpadnij potem do mojej kwatery. Numer trzynastie — rzekła Katrila na odchodnym. Następnie opuściła pomieszczenie.

Litta tymczasem oparł się o ścianę kilkanaście metrów dalej. Prawdopodobnie niewiele mogła słyszeć, wciąż jednak pozostawała w zasięgu wzroku.

— Jak sądzę, moją ochroniarz nie stać na więcej. — Velirius westchnął zrezygnowany i dodał natychmiast — Co mogę dla pani zrobić?

— Szczerze mówiąc, jestem nieco zaskoczona pana obecnością tutaj. — Irianna usiadła za biurkiem i wyciągnęła kilka dokumentów. — Nie rozumiem powodów, dla których król zdecydował się przysłać do nas swojego ambasadora. Czyżbyśmy czymś zawinili? Zapewniam, że wszystko zostało wykonane zgodnie z pierwotnymi ustaleniami.

— Ach, niepotrzebnie się pani martwi. Nie zamierzam niczego sprawdzać. Jego wysokość po prostu zrozumiałwszy zainteresowanie czarodziei z całego świata, postanowił mieć na miejscu swojego człowieka. Który tak samo, jak reszta, przybył tutaj wyłącznie w celach turystycznych i społecznościowych. Bo właśnie to tutaj robią nasi koledzy po fachu prawda? Zwiedzają i rozmawiają.

— Nie przeczę. — Kobieta spojrzała na niego z zastanowieniem. — Mogę zadać zatem nieco bardziej personalne pytanie? Jak Anarchijczyk został ambasadorem Kaistlanii?

Velirius uniósł brwi z wyrazem uznania. Niewielu dawało radę rozpoznać jego narodowość po kilku minutach rozmowy. A może czarodziejka po prostu o nim słyszała?

— Wyświadczyłem w przeszłości kilka przysług jego wysokości i nie raczyłem

odmówić, gdy poprosił mnie o kolejną. Czemu zaś wybrał mnie? Cóż... niewielu czarodziei pozostało w opanowanej przez technomagów Kaistlanii, lecz to już temat na inną dyskusję. Mogę teraz ja o coś zapytać? W obozie spotkałem pewnego Kael-Kiriana, który twierdził, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Podobno mrok czai się w pobliżu.

— A, mówi pan o Elieilijasie. — Badaczka zastanowiła się chwilę. — Tak, informował nas o tym kilkukrotnie. Nasze badania jednak nie wykazują w pobliżu zagrożenia.

— Jest pani świadom, że jako elf, wyczuwa on ciemność sam z siebie?

— Oczywiście, lecz w przeszłości talent elfów kilkukrotnie w tej kwestii zawodził, a ja nie mam już możliwości odwołania niczego. Gdybym zresztą mogła, zrobiłabym to o wiele wcześniej.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Bo tylko głupiec zdecydowałby się obozować wewnątrz ruin pradawnych.

— Myślałem, że je oczyściliście.

— Oczywiście. — Kobieta machnęła ręką zniecierpliwiona. — Nawet kilkukrotnie, ale na wszystkich bogów, przecież to ruiny pradawnych! Chyba czytał pan o pierwszych ich odkrywcach? Dokładnie opisano, jak niebezpieczne mogą być takie miejsca.

— Szczerze mówiąc, odwiedziłem kilka ruin zarówno na Nastilii, jak i w Warderlonie. Wydawały się niegroźne.

— Gdyż dokładnie spenetrowano je wieki temu. Czasem dopiero po kilku latach odkrywane są nowe przejścia. A dziś obozujemy sobie w środku zabudowań, zaledwie dwa czterdziestodnie od odkrycia.

— Nie zamierzam spierać się ze specjalistką. — Velirius kiwnął głową z szacunkiem. — Czemu w takim przypadku wciąż tutaj jesteśmy?

— Niestety nie tylko ja odpowiadam za ekspedycje. Finansuje ją Anarchijska Akademia Magii imienia Ringa Senelina, a w niej tkwi wiele osób, które rozważają problemy jedynie z daleka. Spływający zaś do nas goście mają wpływy i pieniądze. Nie sposób odmówić ich zachciankom. W każdym razie, wracając do pańskiego pytania: Ruiny nie wykazują śladu mroku, ale nie czyni ich to bezpiecznymi. Dlatego właśnie, jako osoba, która zidentyfikowała i rozbroiła dziesiątki pradawnych pułapek, osobiście prowadzę zwiedzanie. Muszę pana również poinformować, że dzisiejsze już się odbyło. Następane dopiero jutro.

— Z miłą chęcią poczekam.

— Organizujemy natomiast poczęstunek w największej sali. Niedługo się zacznie. Polecę zaraz pokazać panu kwaterę. Nie będę już dłużej zajmować pańskiego czasu.

— Ależ naprawdę żaden kłopot...

Jeden z pracowników zaprowadził Velirusa dalej w głąb ruin, gdzie wykute w ścianach znajdowały się sporej wielkości pokoje, do których wstawiono prowizoryczne drzwi. Czarodziej otrzymał kwaterę dziewiętnastą, Litta zaś

dwudziestą. Wojowniczką co prawda upierała się, że spędzi noc na korytarzu, pilnując wejścia do pomieszczenia ambasadora, lecz mag prędko wybił jej to z głowy. Jeszcze mu brakowało, aby ktoś kręcił mu się pod drzwiami...

Velirius rozłożył u siebie swoje skromne bagaże, a następnie ruszył ponownie w głąb pradawnych korytarzy. Kilka chwil później dotarł do kwatery Katrili. Zapukał delikatnie, a przyjaciółka niemal natychmiast otworzyła drzwi i wyszła mu na spotkanie. Dalszą wędrówkę kontynuowali razem.

— I jak się ambasador czuje po starciu z przewodniczącą ekspedycji? — Kobieta wyraźnie miała dobry humor.

— Nie kpij. Bardzo interesująca osoba.

— Interesujące osoby, to ty poznasz dopiero teraz.

Znaleźli się w wyjątkowo dużej, budzącej podziw sali. Na jej ścianach umieszczono płaskorzeźby przedstawiające różne wydarzenia sprzed wieków, poczynając od odbudowy świata, poprzez walkę pradawnych z drakonami, aż do zesłania ich zguby. Sufit podtrzymywały cztery wielkie kamienne kolumny ustawione w rogach, na środku zaś umieszczono niewielkie ognisko, otoczone ewidentnie już współczesnymi stołami. Je natomiast zastawiono skromnym posiłkiem.

W pomieszczeniu przebywało ponad czterdziestu czarodziei. Część z nich, Velirius kojarzył z widzenia, z innymi w przeszłości zamienił nawet parę słów. Niektórych natomiast widział pierwszy raz w życiu.

— A no tak — rzekł rozbawiony, rozglądając się dokładnie. — Jedzenie podano.

— I picie. Aczkolwiek niestety bezalkoholowe. Nici z zabawy.

— Piłabyś? — Mężczyzna uniósł brwi zaintrygowany. — Zaskakujesz mnie Katrilo, nawet po tylu latach. Twój charakter przepełniają zaiste setki tajemnic.

— A ty nie odkryłeś nawet połowy. Zmieniając temat, gdy rozmawiałeś z Irianną, sprawdziłam imiona większości tych magów.

— Naprawdę? Kłaniam się z wdzięczności.

Kobieta zaczęła wymieniać. Tak jak wcześniej wspominała, bezsporną większość zbiorowiska stanowili Anarchijczycy. Kaistlanie stali na drugim miejscu, za nimi Kalwadorczycy i Shandarianie. Miejsca dla gości ustawiono zresztą według narodowości, więc prędko dało się zorientować w sytuacji. Tylko Elieiljas, siedząc dumnie pośrodku całej gromady, psuł nieco porządek.

Katrila tymczasem skończyła wymieniać, choć jak zapowiedziała, nie zapamiętała wszystkich.

— Ealiana chyba sam poznałeś. — Wskazała na Kael-Kiriana, rozmawiającego cicho z kilkoma innymi magami.

— Owszem. A tamten? — dopytał się jeszcze Velirius, pokazując na czarodzieja przebranego w czerwone szaty. Był on tak szczelnie ubrany, że nie dało się dostrzec nawet skrawka jego ciała.

— Enerias chyba — odparła kobieta z zastanowieniem, a następnie uśmiechnęła się z rozbawieniem. — Oczywiście nie Kazner. Nie pamiętam nazwiska.

— Dlaczego nosi maskę?

— Nie tylko on. Jego towarzysze również. — Wskazała na dwóch innych. Wyglądali podobnie jak ten pierwszy. — O ile dobrze zrozumiałam, nadmiernie interesowali się Smokonami.

— Słucham?

— Wiesz, że Smokonia, leżąca na południe od Nastilii zupełnie się izoluje prawda?

— Oczywiście. — Velirius obserwował czerwonych czarodziei z zacięciem. — W Erze Światła sam Wielki Cesarz zaakceptował ich niezależność.

— Tak. Z tym że niektórzy Anarchijczycy przejawiali pewną... fascynację smokońską kulturą. Kiedy zaś kilka lat temu w Smokonii rozpoczęła się wojna, część z nich zdecydowała się pomóc zagrożonym Smokonom.

— Przecież oni zawsze odmawiali przyjęcia pomocy!

— Wiem, dlatego też ze sporego oddziału ochotników, wróciło zaledwie kilku. A ci, którzy przeżyli, zapłacili wielką cenę. Smoczy ogień bardzo zniszczył ich ciała.

— Dlatego wszyscy noszą maski?

— I rękawiczki, ale cóż... nie wszyscy. — Katrila wskazała na ostatniego z grupy. Jego twarz wyglądała, jakby ktoś wylał na nią wrzący olej. Mężczyzna zresztą był też pozbawiony oka. Velirius nie mogąc powstrzymać odruchu, odwrócił się ze wstrętem. Współczuł jednak tym ludziom. Chcieli dobrze, ale zostali ukarani za nadmierne wtrącanie się w nie swoje sprawy.

— Nie dałabyś rady tego uzdrowić?

— Poparzeń po smoczym ogniu? Nic z tego. — Kobieta pokręciła głową z westchnieniem. — Potrzebowałabym czegoś znacznie silniejszego od mojej wody. Oho! Kogoś zainteresowałaś. To ja zmykam na swoje miejsce.

I nim zdołał ją powstrzymać, była już po drugiej stronie czworokątnego stołu. Velirius tylko przewrócił oczyma, nie komentując jej zachowania. Następnie zajął się dwoma zbliżającymi się do niego Shandarianami.

— Bóg Mądrości z tobą panie Karen — rzekł pierwszy na powitanie.

— I wzajemnie panie Yoishi. — Czarodziej natychmiast przypomniał sobie, iż rozmawiał z nim kilkakrotnie w przeszłości. — Miło mi. Jak mogę panu pomóc?

— Zaspokajając ciekawość w większym skrócie. Właśnie wraz z bratem o panu rozmawialiśmy...

— Naprawdę?

— Tak — odparł drugi rozmówca, chyląc lekko czoło. — Kilka dziesięcioleci wcześniej dotarli do Shandarii wieści o pana kolejnych zajęciach. Pańska praca naszym zdaniem jest godna pochwały.

— Miło słyszeć...

— Ogólnie ostatnimi czasy pełno pana na całych Wyspach Anteor — kontynuował Yoishi spokojnie. — Poczynając od wydarzeń w Królestwie Anarchijskim, przez drobne konflikty w Kalwadorze aż po zamieszanie dookoła króla Kaistlanii. I nawet zdołał pan zdobyć pozwolenie na podróż do Warderlonu. Imponujące. Znalazł pan własne miejsce w polityce, niewątpliwie.

— Nigdy nie uznawałem swoich działań za polityczne — rzekł Velirius z beztroskim tonem. — Wolę tytułować je mianem „służby Voimsisowi”.

— W każdym razie, wśród wszystkich swych zajęć, nigdy wcześniej nie wyrażał pan zainteresowania pradawnymi. Mimo to przyjechał pan tutaj.

— Spodziewamy się, iż sprawa ta również jest związana z pana pracą — kontynuował jego brat. — I wszyscy dziś się tego dowiemy, jak sądzę. Czy doszliśmy do słusznych wniosków?

Velirius uśmiechnął się dobrodusznie, a następnie odparł z uśmiechem:

— Dlaczego nie jestem zaskoczony, że właśnie wy mnie rozpracowaliście. Trudno coś ukryć przed narodem mądrości.

— Komplementary może pan sobie darować. — Shandarian gładził się po głowie z zastanowieniem. — W każdym razie, z niecierpliwością czekamy aż uchyli pan rąbka tajemnicy. — Tak rzekłszy, wrócili do stołu.

Velirius tymczasem zdał sobie sprawę, iż pozostał już niemal jedynym stojącym. Poprawił więc swój kaptur na głowie i czym prędzej zajął miejsce. Usadzili go niestety, jako ambasadora wśród Kaistlanów, co niespecjalnie przypadło mu do gustu. Katrila natomiast wyglądała na uradowaną. Siedząc prawie idealnie naprzeciwko niego, mogła bez skrępowania stroić w jego kierunku dziwne miny, aby tylko wyprowadzić go z równowagi, gdy będzie przemawiał. Nie wątpił, że tak właśnie wyglądał jej plan.

Rozmowy jednak dopiero się rozkręcały. Dało się od razu spostrzec dominujący temat ruin pradawnych. Czarodzieje spekulowali, czym mogły w przeszłości być nowo odkryte podziemia, wygłaszali teorie o różnych związkach między architekturą tutejszych budowli a innymi obiektami porozrzucanymi na całym Voimsisie. W każdej akademii magii uczono historii Cywilizacji Pradawnych, a że główna wiedza magiczna pochodziła z jej pozostałości, temat zawsze był gorący i świeży.

Jakiś czas później jednakże dyskusja płynnie przeszła w ogólne rozważania magiczne. Tak jak Velirius oczekiwał, zgromadzeni reprezentowali najróżniejsze profesje, od zaklinaczy po uzdrowicieli. Wymiana nowinek i wieści wydawała się nieunikniona, chociaż niektórzy wyraźnie żalowali, że nie znalazł się wśród nich żaden reprezentant krajów mroku. Dobrze jest przecież wiedzieć, na czym stoi konkurencja.

Oczywiście, jak w większości dyskusji, z czasem temat zszedł na politykę, co nieco podgrzało atmosferę. Zwolennicy różnych idei, jak zawsze spierali się o to, kto ma rację. A skrajnych przeciwności wśród magów nie brakowało. Na szczęście potrafili oni kłócić się na wysokim poziomie, bez wyzwisk i przekleństw.

W ciągu całych tych debat Velirius kilkukrotnie doznał kolejnych napadów bólu. Ignorował je jednak uparcie, usiłując całą swoją uwagę skupić na planie, który właśnie zbliżał się do kluczowego momentu.

Po mniej więcej półtorej godziny, gdy prawdopodobnie zapadł już zmrok, rozmowy powoli schodziły na najróżniejsze tematy. Velirius, przysłuchujący się wszystkiemu z wielką uwagą, oczekując na odpowiedni moment, uznał to za swoją

chwilę. Instynktownie znowu poprawił kaptur na głowie, a następnie wstał powoli, wzbudzając wśród niektórych pewne zainteresowanie.

— Panowie... I drogie panie oczywiście — rzekł swobodnie, przywykły w przeszłości do przemówień wśród większego grona. — Czy mógłbym zająć wam kilka chwil swoją skromną osobą?

Odczekał moment, aż wciąż rozmawiające osoby zamilkły, a następnie świadom, iż stanowcza większość uwagi skupiła się w końcu na nim, kontynuował:

— Velirius Karen, do państwa usług. Obecnie ambasador Kaistlanii, choć tak jak wy przyjechałem tu raczej w celach turystycznych. Część z was mogła już o mnie słyszeć...

— Znamy pana, panie Karen — przerwał mu jeden Anarchijczyk, składając ręce w geście zastanowienia. — Choć raczej nie z widzenia. Ostatnimi czasy trudno przeoczyć pańskie działania na Wyspach Anteor.

— Rzekłbym nawet — kontynuował jakiś Kalwadorczyk, spojrzawszy najpierw na poprzedniego rozmówcę — iż część z nas bacznie śledzi pańskie poczynania. Co możemy dla pana zrobić?

— Korzystając z okazji, że zebraliśmy się tutaj tak tłumnie — rzekł Velirius, uśmiechnąwszy się z zadowoleniem. — Chciałbym przedstawić państwu pewną ideę. Liczę również, iż się do niej ustosunkujecie.

— Prosi pan magów o opinię? — Któryś z Anarchijczyków uniósł brwi z rozbawieniem. — Dostałby ją pan tak czy siak, bez względu na prośby. Czy mogę jednak zapytać, jaki ma ona związek z pana aktualną pozycją?

— Ależ żaden — wyjaśnił Velirius stanowczo. — Moje obowiązki ambasadora nie mają z tym nic wspólnego. To raczej element planowanej pracy oraz zainteresowań.

— Tym bardziej mnie pan zaciekał. Proszę mówić, zamieniamy się w słuch.

— Przez ostatnie dziesięć lat, podczas wielu moich zajęć podróżowałem niemal po całym Voimsisie. Oczywiście skupiałem się głównie na Wyspach Anteor, Nivi-Aten i Podniebne Królestwo odwiedziłem zaledwie raz, lecz... W trakcie tego okresu poznałem stanowczą większość kultur naszego świata. Jak i ich polityki. W każdym razie, służąc wielu wpływowym osobom, oraz analizując historię, zacząłem docierać do różnych wniosków, oraz dostrzegać pewną niezwykle ważną potrzebę. Otóż od zakończenia Ery Światła, świat nasz coraz bardziej przypomina... wybaczcze mi określenie, totalny bałagan. W ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat wybuchły trzy większe wojny, wiele sojuszy się rozpadło, część krajów zdecydowała się na izolację... Ogólnie rzecz biorąc, Voimsis przestał być tak stabilnym miejscem, jak niegdyś.

— Chyba pan nieco przesadza — wtrącił się wśród rosnących szeptów jeden z Shandarian. — Początkowy chaos i wojny można łatwo wyjaśnić rozpadem Cesarstwa Anarchijskiego, odnośnie do reszty zaś... Przykładowo w Shandarii nie zmieniło się zupełnie nic. Z globalnego punktu widzenia oczywiście.

— Tak, możliwe, lecz dla nas czarodziej, zmianie uległo bardzo wiele. — Velirius nie dał się tak łatwo wytrącić z wątku. — Zawieszono wymiany wśród

adeptów akademii magii. Odcięto nas od niektórych regionów, do innych mają dostęp tylko nieliczni, spełniający najczęściej rządowe zachcianki. Niektórym czarodziejom zupełnie przestano też ufać... Słowem, coraz bardziej jesteśmy ograniczani przez nasze pochodzenie drodzy państwo.

— A czy nasza obecność tutaj nie jest zaprzeczeniem pańskiej teorii? — rzekł wysoki Anarchijczyk, ręką wskazując wszystkich zebranych. — Pochodzimy z różnych krajów, a jakoś nikt nie robił problemów z naszym przyjazdem.

— Owszem, lecz proszę zauważyć — odparł Velirius, przewidując wcześniej ów argument. — Anarchijczycy, Kaistlanie, Kalwadorczycy, Shandarianie... Trzy narody światła. I jeden mądrości, wiecznie neutralny. I nikogo z narodów mroku! Żadnego Tokiriana czy Warderlończyka. Wiedzą państwo dlaczego? Bo Ezestea pozostaje pod kontrolą Kaistlanii, która obecnie toczy wojnę z jednym z państw ciemności.

Kaistlancki król więc, niech Bezimienny błogosławi jego decyzje, nie zamierza wpuszczać nikogo z tych krajów. Jako jego ambasador, w pełni rozumiem i popieram takowe działania. Jednak... sytuacja podobnie wygląda na całych Wyspach Anteor. Coraz mniej się ludziom ufa. Czasy bowiem stają się coraz bardziej niebezpieczne...

— Co pan proponuje?

— Tak jak wspomniałem, dostrzegłem pewną potrzebę — kontynuował Velirius niestrudzenie. — Potrzebę stworzenia organizacji, zrzeszającej nas, magów. Takowa organizacja miałaby być apolityczna i akceptowałaby czarodziei niezależnie od pochodzenia czy rasy.

Tak rzekłszy, zrobił krótką przerwę i spojrzał po zebranych. Z części twarzy już w tej chwili dało się odczytać ich kształtującą się opinię. Velirius przewertował ich po kolei, zatrzymując się jednak na dłuższą chwilę przy Elieilijasie. Kael-Kirian minę miał nietęgą, doświadczony obserwator od razu by zrozumiał, że już w tej chwili koncepcja się mu zupełnie nie podoba. Czarodziej milczał jednakże, czekając chyba na zakończenie wywodu.

— Utworzenie owej organizacji znacznie poszerzyłoby nam perspektywę — wznowił temat Velirius. — Po pierwsze ułatwiłoby to powszechną wymianę informacji i wiedzy, gdyż w mojej wizji, miałyby ona wpływy i placówki na całych Wyspach Anteor. W dodatku mogłaby współpracować z akademiami magii z najróżniejszych krajów. Co najważniejsze jednak, z czasem, dzięki wytrwałej pracy i zachowaniu apolityczności, czadzieje z owej organizacji, zyskaliby zaufanie poszczególnych władców, którzy przecież od czasu do czasu potrzebują naszych usług. W ten sposób, przywrócone by nam zostały nasze dawne możliwości. Oczywiście nie twierdzę, iż stałoby się to od razu. Zaufanie jest czymś, co buduje się z trudem, lecz uważam, że się opłaci. Przez ostatnie lata utraciliśmy masę naszych przywilejów... dlatego wierzę, iż powinniśmy jak najszybciej spróbować je odzyskać. Tyle ode mnie panowie. Teraz pragnę usłyszeć waszą opinię.

Niestety nim ktokolwiek inny zdołał ją sformułować, do dyskusji wkroczył długo na to czekający Ealian Elieilijas. Velirius poruszył się niespokojnie.

— Ogólnie, w życiu nie słyszałem większego steku bzdur. Chcesz zgromadzić w

jednej organizacji wszystkie rasy? — spytał Kael-Kirian, ignorując grzecznościową formę. — Przecież one mają zupełnie różne kultury i obyczaje. Sam o konflikt wewnętrzny się prosisz. A biorąc pod uwagę, jaką profesję chciałbyś swoją grupą zrzeszać, byłby to konflikt magiczny, najgorszy ze wszystkich.

— Mam nieco inne zdanie — odparował natychmiast Velirius. — Uznając, iż czarodzieje są mimo wszystko osobami na poziomie, w większości umiejącymi kontrolować swoje emocje niezależnie od rasy, przy ustaleniu kilku ogólnych zasad, dałoby się spokojnie współpracować. Oczywiście owe zasady musiałyby zaakceptować każdy, niezależnie od pochodzenia i pozycji. Kłótnie międzyrasowe w ten sposób byłyby zażegnane albo przynajmniej kontrolowane.

— Ha, dobry żart. — Wywód zupełnie nie przekonał Elieilijasa. — Chyba nigdy nie dyskutowałeś z krasnoludem.

— Ależ wręcz przeciwnie, dyskutowałem — zaprzeczył Velirius, a następnie dodał, uznając, że trzeba nieco rozluźnić atmosferę. — Powiem więcej, piłem z nim. Niesamowite doświadczenie.

Kilka osób parsknęło śmiechem, ale poza tym, nikt nie wtrącił się do wymiany zdań.

— Wiem, że będąc starszym, wątpisz w moje doświadczenie Elieilijasie — zaczął ponownie Karen, również schodząc z grzecznościowej formy. — Lecz podczas swoich podróży, miałem do czynienia z wszystkimi rasami Voimsisu, wliczając w to nawet smokonów i wyzwolonych.

Rozległy się niepokojące pomruki. Poruszony został delikatny temat.

— A zatem chcesz i wyzwolonych dołączyć do swojej wesolej gromadki — odparł Ealian niemal prześmiewczym tonem. — Cóż, początkowo dawałem tej twojej organizacji nawet parę lat życia. W tej sytuacji jednak rozpadnie się w przeciągu czterdziestodnia. Żaden elf nie usiedzi w jednym pomieszczeniu z wyzwolonym dłużej niż minuty. Pomijając oczywisty fakt, iż wszyscy nieumarli powinni zostać już dawno wyrznięci w pień.

Velirius, zrozumiawszy, iż przeciwnik zupełnym przypadkiem dał mu do ręki broń, przybrał nieco dostojniejszą pozę i oznajmił oficjalnym tonem:

— Jako ambasador Kaistlanii, jestem zmuszony uznać owo zdanie jedynie za personalną opinię. Pragnę przypomnieć, że królestwo zezwala Ostoi Umarłych na istnienie i przez ostatnie setki lat, nie doczekało się z jej strony żadnych problemów. W przeciwieństwie do Kael-Kirii, która od czasu do czasu ponawia swoje żądania o przykładowo, deportacje astriadów. Senelatiri wydaje się przy was naprawdę bezproblemowe.

— Tylko dlatego, że wasz król wciąż jest w stanie je zmiażdżyć jednym skinieniem ręki — odparł Elieilijas lekceważącym tonem. — Poczekaj, aż się ów stan zmieni.

— Chyba sobie odpuszczę — rzekł Velirius, spuszczać nieco z tonu. — W każdym razie nic nie mówiłem o przyjęciu wyzwolonych do organizacji. W świadomości mam jak kontrowersyjne byłoby takie działanie. Mimo to wierzę, że

nawet z nieumarłymi, po akceptacji pewnych zasad, dałoby się współpracować. Musieliby oczywiście zrezygnować z idei... „wyzwalania żywych”, lecz śledząc bieżącą politykę, wiem, iż nie wszyscy z nich ją wyznają.

— Czyli mimo wszystko chciałbyś ich u siebie. Kogo jeszcze byś zaprosił? — Ton Ealiana wyraźnie zahaczał o kpinę. — Może orków?

Rozległy się drobne śmiechy. Dyskusja ewidentnie zaczęła się obserwowanym podobać.

— Przecież oni nie mają w ogóle magii — rzekł jeden z Shandarian, starając się zachować powagę rozmów.

Velirius westchnął zrezygnowany. Przewidywał utrudnienia w realizacji planu, lecz kłótni ze słynnym kael—kiriańskim zaklinaczem zupełnie się nie spodziewał.

— Uprzejmie proszę o nieco bardziej sensowne argumenty — odparł i starając się ukazać własną obojętność względem kpin, nalał sobie do kubka jakiegoś napoju.

— Uważam bowiem, że wyczerpaliśmy kwestię rasową.

— Przejdźmy więc na narody. Część z nich jest po prostu naturalnymi wrogami i żadna akceptacja reguł tego nie zmieni. Mrok zawsze będzie chciał walczyć ze światłem, a obecne „ograniczanie możliwości”, jak to nazwałeś, jest tylko tego dowodem.

— Może niektórzy zarzucą mi przesadny optymizm — Velirius rozejrzał się pogodnie po zebranych — lecz wierzę, że śmiertelnicy potrafią wznieść się ponad owe „naturalne konflikty”, powstrzymać swoje instynkty i myśleć samodzielnie. Państwa mroku przez całą Erę Światła nie były zarzewiem konfliktu. No, może pomijając Kwiat Mroku i Krwi... ale to tylko jeden wyjątek. Można się zatem z nimi jakoś dogadać.

— Niemożliwe... Mam dziwne wrażenie, że słyszę echo przestarzałej polityki waszego byłego cesarza, Eneriasa Kaznera. Posłuchaj mnie wyraźnie ambasadorze. — Kael-Kirian miał w głosie ostrzegawczą nutę. — Wojna, którą obecnie prowadzi twój król, jest najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się temu światu od pokoleń. Dlaczego? Bo w końcu Kaistlania, dzieląca swój kontynent z Tokirianami może ostatecznie pokonać swych konkurentów, powstrzymując raz na zawsze ich złodziejskie interesy. Tokiria od wieków trzyma kupieckie społeczności w swych szponach, narzucając na nie wysokie haracze i cła. Wiesz, ile konfliktów wybuchło z tego powodu? Ile ludzi zostało zamordowanych dla pieniędzy? Nie da się zliczyć, lecz toczona obecnie wojna, dzięki bogom to powstrzyma. Jestem świadom, że jej wybuch ograniczył nam mocno możliwości. Czasem jednak trzeba dobrowolnie zrezygnować z przywilejów, aby ktoś inny mógł dokonać słusznych czynów. Choć wiem, że wam ludziom trudno to zrozumieć.

Velirius złożwszy dłonie, w milczeniu słuchał monologu, gdy zaś ten się zakończył, spytał jedynie:

— A jak się ów wywód ma do wewnętrznych konfliktów w mojej organizacji...? Bo chyba się nieco zgubiłem.

— Posłuchaj więc człowieka... — Elieilias był wyraźnie podirytowany

lekceważącym tonem przeciwnika. — Założmy teoretyczną sytuację, w której przyjmujesz do swojego zgromadzenia zarówno Warderlończyków, jak i Anarchijczyków. A następnie, po kilku latach wybuchu wojna między tymi państwami. Przecież konflikt wewnątrz organizacji ją odwzoruje! Nie twierdzę, że magowie od razu się na siebie rzucą, ale na pewno zaczną ze sobą konkurować, zupełnie niszcząc nawzajem swoje interesy.

— Niekoniecznie — zaprzeczył Velirius gorliwie. — Przecież dołączając, deklarują całkowitą apolityczność. Owa wojna nie powinna ich więc zupełnie obchodzić. Celem organizacji będzie rozwój czarodziejstwa, a nie ingerowanie w politykę Voimsisu.

— Odbierasz więc jej członkom możliwość podążenia za własnym narodem?

— Nie. Zrzekli się jej dobrowolnie. Nikt nie kazał im przecież dołączać.

— Chcesz więc aby pracujący w niej Anarchijczycy patrzyli obojętnie, gdy ich rodacy są mordowani a kraj dewastowany?

— Mam dziwne wrażenie, że nasza dyskusja zaczyna zahaczać o sytuacje skrajne — zauważył Velirius z drobną nutką irytacji w głosie. — Skoro już w to zabrnęliśmy jednakże... w mojej opinii obowiązek obrony kraju i prowadzenia wojny spoczywa na władcy państwa i jego armii. Zatem na służących mu raczej magach bitewnych, a nie zwykłych wioskowych zaklinaczach, uzdrowicielach czy badaczach. — Tu kiwną głową w kierunku przewodniczącej ekspedycji, Irianny, która od jakiegoś czasu również przysłuchiwała się dyskusji. — Jeśli jednak ktoś z organizacji poczułby, że tak to ujmę, zew ojczyzny, mógłby przecież w każdej chwili wystąpić z jej szeregów i dołączyć do wojny.

— Ale miałyby silną alternatywę, co może się okazać niebezpieczne. Organizacja odводziłaby ludzi od powinności, a zatem działała na niekorzyść twojego kraju.

— Jako osoba akceptująca jej zasady, zatem i apolityczność, nie bardzo rozważałbym wydarzenia w perspektywie „mojego kraju”. Patrzyłbym raczej globalnie.

— Czyli stworzył zreszenie kolaborantów i tchórzów. — Elieilias pokręcił głową z pogardą. — Którzy albo się boją walczyć, albo mają gdzieś własną powinność.

— Raczej ludzi zainteresowanych czarodziejstwem i rozwojem, a nie polityką i narodowymi „przeznaczeniami”. — Velirius sam u siebie spostrzegł niebezpieczną nutę. Lękał się jej. — Niektórzy z nas po prostu wyznają nieco inne wartości i stawiają swoje dobro bądź zainteresowania ponad owe „boskie powinności”. Choć... parafrazując twoje własne słowa, wiem, że wam elfom trudno to zrozumieć.

I wówczas przerwał, zaskoczony kolejnym atakiem bólu. „*Ciemność. Blisko. Śmierć. Bądź czujny!*” krzychała mu w żyłach krew, jak zawsze walcząc z rozsądkiem. Czarodziej wyjaśnił naprędce przerwę nagłym kaszlem. Sięgnął też po nalany napój i w czasie gdy ból przechodził, udawał, że chłodzi rozbolełe gardło.

— Zaczynam mieć wrażenie, że ty po prostu nie lubisz elfów — rzekł Elieilias, krzyżując ramiona.

Velirius, wyprowadzony z równowagi zarówno atakiem bólu, jak i postawą

Ealiana, wstał i opierając ręce o blat stołu, powiedział z irytacją:

— Masz rację. Nie lubię elfów. A wiesz dlaczego? — Zrobił krótką pauzę. — Bo się nie sprawdziliście.

— Nie sprawdziliśmy się? — spytał Elieilijas, bębniąc gniewnie o stół.

— Owszem. Od początku waszym celem miała być walka z mrokiem. Obrona ludzkości. Tymczasem wy siedzicie sobie radośnie na swojej pięknej wyspie i zajmujecie się rozdrapywaniem ran, które Voimsis już dawno zagoił.

— Co? — Ealian również wstał. — Zarzucasz nam bezczynność? Nie masz pojęcia, jak wiele dla was poświęciliśmy człowieku... w jak wielu bitwach was wspomogliśmy...

— Słucham więc! Wojna domowa w Królestwie Anarchijskim. Czemu nie zareagowaliście?.

— Ludzie przeciw ludziom. Nie nasza sprawa.

— Barbarzyńskie ataki na Smokonię.

— Odmówili pomocy.

— Wojna między Kaistłanią a Tokirią.

— Kaistlanie poradzą sobie bez nas.

— Osiemset lat istnienia Senelatiri, Ostoi Umarłych.

— Twój król trzyma ich w szachu.

— Wymówki! — zawołał Velirius, wznosząc ręce wysoko. — Oto czym są wasze argumenty. Wiesz... kiedyś wierzyłem w Kael-Kirię. Byłem święcie przekonany, że zareagują, ale potem zrozumiałem, jak bardzo nasi „obrońcy” się rozleniwili. Obarczacie obowiązkiem walki, kogo tylko się da, aby samemu go uniknąć. Przez jakiś czas nawet zastanawiałem się, czemu takowe opinie o waszym królestwie pojawiają się dopiero teraz, a nie setki lat wcześniej. I wiesz co? Podczas wielu moich podróży, w końcu to zrozumiałem! Za was po prostu ktoś ciągle odwalął robotę!

— Że jak? — Elieilijas wydawał się zdezorientowany i oburzony teorią. — Kto niby?

— Jedyna osoba, która mogła. Enerias Kazner i jego Cesarstwo Anarchijskie!

— Bzdury...

— Enerias Kazner, na początku Ery Światła zasiadł na tronie i przyjął ciężkie brzemie opieki nad Wyspami Anteor. Niczym troskliwy ojciec pilnował, aby żadnemu narodowi nie stała się krzywda. Wybuchął konflikt? Pojawiał się tam natychmiast, aby powstrzymać go, jeśli się jeszcze dało, lub doprowadzić go do końca, gdy nie było odwrotu. Przeanalizuj historię. Wielka Wojna Przeciwko Nieumarłym, Elfie Wyzwanie, Orkowa Rewolucja, Bunt Smokonów... On wszędzie tam był, pilnując, aby wydarzenia nie wymknęły się spod kontroli. Jak odpowiedzialny ojciec, bierze pod uwagę wszystkie swoje dzieci, tak Enerias Kazner zważał na każdy naród! Jak odpowiedzialny ojciec, nie pozwalał im również na wszystko, lecz uczył karami i nagrodami, aby w końcu zdołały same egzystować. I ostatecznie niczym kochający ojciec widzący, że w części dzieci narasta zło, nie odrzucił narodów mroku, tylko dał im szansę! Pokazał, iż jeśli chcą, mogą w pokoju żyć z innymi i nikt nie ukarze ich

jedynie za „możliwości”.

Zamilkł na chwilę, dając słuchaczom nieco ochłonąć.

— Niczym opiekun stał na straży, gdy przysłowiowe „dzieci” zajęte były zabawami — powiedział, a następnie ponownie wzniosł głos. — Lecz w końcu zginął! Zaskakujące doprawdy! Po dziewięciu setkach lat ludzkość już dawno przestała wierzyć, że to możliwe, a jednak ostatecznie odszedł z tego świata. I co robią dzieci, gdy nagle zabrakło rodzica? Radują się, iż nareszcie nikt nie mówi im co wolno, a czego nie wolno! I ich zabawy stają się coraz odważniejsze, coraz bardziej niebezpieczne, tylko patrzeć jak któreś zrobi sobie krzywdę, lub co gorsza, zginie. I kogo wtedy będziemy winić, Eneriasa Kaznera, który z własnej woli przyjął ów obowiązek i przez całe życie, uważnie go wykonywał, czy może Kael-Kirię, która pierwotnie ów obowiązek otrzymawszy, wołała je zrzucić na kogoś innego?

— Kłamstwa i oszczerstwa...

— Powiedz mi, Ealianie Elieilijasie — Velirius wskazał dłonią na rozmówcę. — Dlaczego ty, przedstawiciel rasy, która zdecydowała się odrzucić własne przeznaczenie, zarzucasz nam, ludziom, stworzonych wyłącznie do szczęśliwego życia, ignorowanie właśnie tych powinności? Bo ja tu chyba po prostu czegoś nie rozumiem!

Kael-Kirian zacisnął pięści i uderzył nimi o stół. Kilka podręcznych amuletów wypadło z jego szaty i potoczyło się po podłodze.

— Dostosowujesz fakty... — rzekł powoli, próbując kontrolować swój gniew. — Do rozmowy. Przeinaczasz je, tak aby wyglądało, że masz rację. Połowa z tego, co powiedziałaś to totalna bzdura. Ubóstwiany przez ciebie Enerias Kazner miał więcej na sumieniu niż ci się wydaje. Zadał mnóstwo cierpienia jak setki władców przed nim.

— Bo był tylko człowiekiem, na bogów! — zawołał Velirius, ponownie unosząc wysoko ręce. — Popełniał błędy! Każdy to robi. Znajdź mi jednego śmiertelnika, który jest bez winy.

Ealian milczał przez chwilę, a następnie rzekł, uspokoiwszy się nieco:

— Podtrzymuję swoją opinię. Przeinaczasz fakty. Manipulujesz dyskusją. Masz do tego duży talent, przyznaję. Proponuje wrócić do twojej organizacji człowieka. Chcesz, aby ignorowała problemy naszego świata, zajmując się wyłącznie swoimi? A jak wówczas ocenicie co dobre a co złe? Gdy świat zaleje fala ciemności, usiądziecie z boku i stwierdzicie „nas to nie dotyczy”? Cóż... może rzeczywiście nie. A przynajmniej nie bezpośrednio, lecz przecież życie w tym świecie prawda? JAKIŚ wpływ on na was wywiera. Skąd będziesz wiedział, że nastał moment, w którym czas działać? A może w ogóle nie przewidujesz takiego momentu? Planujesz żyć beztrosko, nie patrząc, co się dzieje dookoła?

— Ależ absolutnie nie — odparował Velirius, również ochłonawszy nieco. — W mojej wizji, organizacja również podejmowałaby pewne kroki, w skrajnych przypadkach. Choć wciąż, apolitycznie.

— Skąd będzie więc wiedziała kiedy?

— Pozostawiam tę kwestię raczej ustaleniom, dyskusjom i rozmowom. W skrócie, ludziom.

— Ludzie mogą się mylić.

— Jak każdy. Nawet przeznaczenia i powinności. Osobiście, zawsze wychodziłem raczej z założenia, że magowie powinni służyć bogom, a nie narodowi.

— Przecież to dokładnie to samo...

— Absolutnie nie — zaprzeczył Velirius żywo.

— Bogowie stworzyli narody i wpływają na ich losy.

— Właśnie. Wpływają, lecz na czele samych narodów wciąż stoją śmiertelnicy.

A ci znacznie częściej zamieszani są w ciemne interesy, korupcje, własne żądze i tym podobne. Nie twierdzę, iż tak jest zawsze. — Czarodziej uspokajająco machnął rękoma w kierunku nieco wzburzonych słuchaczy. — Mamy setki przykładów znakomitych władców, wliczając w nich, niech Bezimienny pobłogosławi jego decyzje, obecnego króla Kaistlanii. Lecz śmiertelnicy bywają różni!

— Nie mogę się do końca zgodzić — Elieilijas brnął dalej niestrudzenie. — Konflikty naszego świata wybuchają zarówno z powodu bogów, jak i nas.

— Podam więc przykład — Velirius ponownie zaczął się nieco irytować. — Elfie Wyzwanie, największy błąd Cesarza, którego twoim zdaniem tak ubóstwiam. Myślisz, że gdy Anarchijczycy szykowali się do wojny, Bezimienny, wyznawany przez nich bóg wołał wśród połaci eteru „Naprzód do boju moi żołnierze!”? Przecież atakowano wyznawców Bogini Natury, z którą od wieków współpracował! Konflikty nigdy nie było w planie ich obojga. Cała ta wojna była winą upartych Lenarioleńczyków, którzy wyzwanie rzucili i dumnych Anarchijczyków, którzy je przyjęli. Nikogo innego. W uproszczeniu oczywiście. I gdyby wówczas magowie zamiast swego cesarza, posłuchali bogów, od razu odmówiliby udziału w konflikcie! Kaistlanccy czarodzieje zresztą tak zrobili, jeśli dobrze pamiętam. Zapłacili za ów czyn jednak okropną cenę.

— Co tylko dowodzi, iż nie powinni...

— I znowu, absolutnie nie. — Velirius zwrócił się do wszystkich zebranych. — W tamtych czasach bowiem idea apolityczności niemal nie istniała! I właśnie dlatego potrzebujemy mojej organizacji! Aby nikogo nie dziwiło, że nie interesuje nas polityka. Będziemy mogli sami podejmować decyzję, a nie oddawać ją ludziom ponad nami.

Zapadła cisza. Karen był wyczerpany. Spoglądał tylko kolejno po magach, starając się odgadnąć ich opinię na temat sprawy, lecz większość z miną głębokiej zadumy wpatrywała się w ogień, jakby analizując jeszcze cały temat. Znalazło się co prawda kilku, których kiwanie głowami prawdopodobnie oznaczało sukces, lecz stanowili obecnie mniejszość. Katrila zaś posłała Veliriusowi buziaka.

Mężczyzn podrapał się po brodzie z zastanowieniem. Przewidywał podobny skutek. Czarodzieje potrzebowali czasu na dojście do własnych wniosków, a zbliżająca się noc stanowiła do tego idealną okazję. Jemu zresztą również przydałby się odpoczynek.

— Chciałem tylko powiedzieć — Elieilijas przerwał moment zadumy,

spoglądając na przeciwnika z mieszaniną pogardy i irytacji — że podtrzymuje swój pierwotny wniosek. W życiu nie słyszałem większego steku bzdur.

Velirius zrezygnowany westchnął przeciągle, odrzucając głowę za siebie. Zupełnym przypadkiem rzucił w ten sposób kaptur, ukazując wszystkim swoje długie szpiczaste uszy.

— Jesteś astriadem! — wykrzyknął nagle Ealian i nim ktokolwiek zdołał coś dopowiedzieć, w powietrzu mignęły magiczne symbole i jego rękę otoczyły błękitne błyskawice.

Zaskakując wszystkich, Kael-Kirian zamachnął się prędko i posłał w kierunku przeciwnika bitewne zaklęcie. Velirius, kompletnie nie spodziewając się takiego obrotu spraw, nie zdołał nawet mrugnąć. Pocisk już miał trafić w cel, gdy wtem jedno silne uderzenie Litty zważyło ambasadora na ziemię. Piorun trzasnął z hukiem o ścianę.

Elieilijas zaklął pod nosem, a następnie wskoczył na stół, aby ponownie zaatakować. Wojownicza jednak nie czekała. Błyskawicznie znalazła się na równi z magiem, przeleciała nad ogniskiem i korzystając z siły rozpędu, potężnym uderzeniem rzuciła napastnika z podwyższenia. Ealian wylądował żałośnie pod kolumną, lecz wciąż stanowił realne zagrożenie. Doceniwszy przeciwniczkę, w jej kierunku skierował swą dłoń, ale kiedy już kończył inkantację zaklęcia, oberwał nagle z rzuconego przez Littę garnka i zanim zdążył się w ogóle otrząsnąć, kobieta znajdowała się przy nim.

Ealian był elfem. Z założenia miał wzrost większy od ludzi. Litta Melgotez jednak stanowiła prawdziwy ewenement wśród swojego gatunku. Chwyciła czarodzieja za szaty i bez trudu uniosła go wysoko, przygważdżając do ściany. Następnie, drugą dłoń położyła mu na szyi, uniemożliwiając mówienie.

— Ealianie Elieiliasie, podniosłeś rękę na królewskiego ambasadora Veliriusa Karena — rzekła głośno i wyraźnie, aby wszyscy słyszeli. — Przypominam, że znajdujemy się na Ezestei, podlegającej Królestwu Kaistlanii, gdzie kael-kiriańskie zasady nakazujące ściganie i zabijanie astriadów nie mają prawa bytu. Jestem zmuszona uznać czyn twój za próbę morderstwa. Zostaniesz natychmiastowo odtransportowany na Kahvel, gdzie osądzą cię ludzie króla. Odradzałabym dalszy opór.

Na drobny moment zapadła zupełna cisza, lecz potem nagle wiele osób zaczęło mówić jednocześnie, powodując straszne zamieszanie. Większość z powodu emocji zupełnie zapomniała o wspólnym języku i używała własnego, tylko potęgując powstały chaos. Część też wstała energicznie, przewracając przy tym krzesła.

Wśród tego całego bałaganu Irianna, dowodząca zasadniczo większością osób dookoła zdołała wezwać z góry jakiegoś strażnika, który od razu skuł Kael-Kiriana. Dodatkowo jeden z przebywających w pomieszczeniu anarchijskich magów bitewnych zaoferował swą pomoc, dla większego bezpieczeństwa.

Velirius, wciąż oszołomiony, spoglądał na całą sytuację ze strachem, lecz po kilku chwilach zwrócił się do Litty:

— Uratowałaś mnie... — Głos mu się łamał. — Nie wiem jak ci dziękować...

— To moja praca — odparła kobieta obojętnie, a następnie dodała szybko. — Dasz sobie radę przez chwilę prawda? Skoczę do kwatery po maść na oparzenia.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pomieszczenia. Czarodziej zdołał jeszcze dojrzeć, iż rzeczywiście ręka, którą go zrzuciła z krzesła, nosiła ślady gorąca. Tymczasem przedstawiciel prawa zdecydował się wyprowadzić Kael-Kiriana. Pilnując, aby ten nie mógł rzucić żadnego zaklęcia, odeskortował go do wyjścia. Elieilijas jednak niespodziewanie zatrzymał się przy Veliriusie. Spojrzał czarodziejowi prosto w oczy i będąc obserwowanym przez wszystkich, powiedział, oddzielając dokładnie każde słowo:

— Wszyscy... jesteście... martwi... astriadzie. I to nie jest groźba, tylko stwierdzenie faktu. — Następnie ruszył z wolna i opuścił pomieszczenie.

Zapadła cisza, wśród której Karen zdał sobie sprawę, iż na podłodze przed nim leży niewielki amulet, prawdopodobnie jeden ze zbioru Ealiana. Kiedy tylko uniósł dłoń, aby go podnieść, odezwała się Irianna, zwracając powszechną uwagę:

— Cóż... Po tym nieprzyjemnym zajściu proponuję udać się do kwater. — Głos miała uspokajający, jakby podobne sytuacje nie robiły na niej wrażenia. — Zmrok już zapadł i prawdopodobnie wszyscy potrzebują odpoczynku. Jutro oczywiście jak już wcześniej informowałam, planowo poprowadzę zwiedzanie.

Powoli ludzie się rozchodzili, rozmawiając jednocześnie między sobą. Zgodnie z naturalną reakcją już komentowali jeszcze świeże wydarzenia. Velirius jednak ich nie słuchał. Ze skupieniem obracał w dłoni lśniący amulet, zastanawiając się jednocześnie czy odnieść go właścicielowi. Ostatecznie uznał, że Elieilijasowi należy się pewna nauczka, a utrata jednego przedmiotu raczej nie odbije się tragicznie na jego zarobkach.

Podniósł się w końcu z krzesła, chowając amulet do kieszeni. Wtedy podeszła do niego Katrila. Rozejrzała się naprędce czy nikt ich nie obserwuje, a następnie energicznie objęła czarodzieja.

— Veliriusie Karen — rzekła, uwalniając go w końcu z uścisku. — Przysięgnij mi, że nigdy więcej nie będziesz irytował niebezpiecznych elfów!

— Tak pani doktor. — Mężczyzna natychmiast odzyskał dobry humor.

— Bogowie Ver... Nawet nie wiesz, ile strachu się przez ciebie najadłam. Nic ci nie jest?

— Nie... trochę bark boli od upadku na ziemię, ale to mała cena za uniknięcie spotkania z magiczną błyskawicą.

— Będę musiała podziękować twojej ochroniarz...

— Próbowałam, ale chyba uznaje podziękowania za zbędne.

Czarodziejka wzruszyła ramionami nieprzekonana. Chyba nie odwiódł jej od pomysłu.

— Idę do kwatery — oznajmił ostatecznie mag, ruszając w kierunku wyjścia. — Chyba zasłużyłem na trochę odpoczynku. Może poczytam jakąś książkę. Zabrałem kilka na wypadek nudów.

— Wpadnę do ciebie za chwilę. Muszę tylko coś jeszcze załatwić.

Rozeszli się. Velirius przemierzał samotnie pradawne korytarze, szukając swojej kwatery, z numerem dziewiętnaście, o ile dobrze pamiętał. Nim jednak odnalazł ją pośród mrocznego labiryntu, usłyszał niedaleko gniewne, podniesione głosy. Zaintrygowany, zbliżył się do źródła sporu. Ku jego zdumieniu ujrzał dwóch „nadmiernych miłośników smokonów”, jak określał czerwonych czarodziei, dynamicznie kłócących się z nikim innym jak jego ochroniarz, Littą Melgotez.

— Co się stało? — spytał, dołączając do dyskusji. — Pan Enerias tak?

— Aderis — zaprzeczył Anarchijczyk, kręcąc głową. — Enerias jest chyba jeszcze w głównej sali. W każdym razie pańska ochroniarz została przyłapana na grzebaniu w naszej kwaterze.

— Słucham? — spytał zdumiony Velirius, a następnie zwrócił się do wojowniczkii. — Wyjaśnisz Litto?

— Myślałam, że to moja kwatera — odparła kobieta po prostu.

— Przecież są podpisane. A ty dostałaś dwudziestkę. Zobacz. — Wskazał na drzwi. Widniał na nich wyraźny napis „Kwatera trzydziesta”.

— No może i jest napisane, ale nie po kaistlancku.

Karen wybuchł nagłym śmiechem, natychmiastowo rozładowując całą sytuację.

— Oczywiście, że nie po kaistlancku — rzekł w końcu, próbując opanować rozbawienie. — Mamy gości i spoza Kahvelu. Napisali więc w języku kupców, tokiriańskim, który każdy szanujący się czarodziej zna oczywiście.

— Czarodziej może i tak...

— Proszę wybaczyć mojej ochroniarz — Velirius zwrócił się do dwóch anarchijczyków. — Popełniła drobny błąd.

— Ależ nie ma problemu panie ambasadorze. — Po tonie dało się rozpoznać, iż miłośnik smokonów również był nieco rozbawiony. — Nie śmiałbym zresztą jej o nic obwiniać. Nie po tym, co pokazała dziś po dyskusji. Wyrazy uznania dla umiejętności droga pani — dodał, zwracając się już bezpośrednio do Litty. Kobieta pozostała niewzruszona.

Anarchijczycy po chwili zniknęli za drzwiami własnej kwatery, a Velirius ponownie rozpoczął poszukiwania swojej. Zanim jednakże mu się udało, ponownie złapała go Katrila.

— Jacyś dwaj Shandarianie chcą z tobą porozmawiać — rzekła nieco zdyszana. Chyba biegła większość drogi.

— Ach... pewnie Yoishi z bratem. Dziękuję moja droga. Nie męcz się już dzisiaj dla mnie. Idź się zająć sobą.

— Wolę nie. Jeszcze wpadniesz beze mnie na jakieś głupie pomysły. Zresztą obserwowanie jak ci idzie, jest bardzo zabawne.

Mężczyzna nie oponował. Wrócili więc do głównej sali. Wbrew zaleceniom, znajdowało się w niej jeszcze sporo osób. Irianna dyrygowała kilkoma pracownikami ekspedycji, organizując sprzątanie i wygaszanie ogniska, miłośnik smokonów, Enerias

zgodnie ze słowami swych towarzyszy, oglądał z wyraźnym zainteresowaniem prądką płaskorzeźbę, a jakiś Anarchijczyk dopijał powoli bliżej nieokreślony napój. Prócz nich, przy wejściu stało oczywiście dwóch Shandarian.

— Jesteśmy mile zaskoczeni ambasadorze Karen — oznajmił Yoishi, gdy tylko znaleźli się w zasięgu głosu. — Wiedzieliśmy co prawda, że coś pan planuje, lecz nie spodziewaliśmy się aż tak rozbudowanych zamiarów. Zwłaszcza, iż naszym zdaniem jest pan jedyną osobą zdolną je zrealizować.

— Wracamy jutro do Shandarii — kontynuował jego brat, dość swobodnym tonem. — Może być pan pewien poparcia naszej Akademii Magii. Przekonamy, kogo trzeba.

— Kłaniam się uniżenie z wdzięczności panowie. — Velirius rzeczywiście wykonał drobny ukłon. — Czym sobie zasłużyłem na takową pomoc?

— Prawidłowymi wnioskami — odparł Yoishi, składając ręce razem. — Tylko one do nas przemawiają.

Pijący akurat Anarchijczyk, mimowolnie słysząc rozmowę, zdecydował się wyrazić własną opinię:

— Szczerze mówiąc, mnie też pan przekonał. Choć w pewnych aspektach zgodzić się nie mogłem. Przykładowo w kwestii wyzwolonych. No, ale ciężko o całkowitą zgodność w poglądach. A skoro już rozmawiamy w mniejszym gronie, z ciekawości... — stwierdził nagle, zmieniając zupełnie temat. — Pan z Kael-Kirian czy Lenariolenczyków?

— Lenariolenczyków — odparł Velirius z uśmiechem. Otwartość Anarchijczyków zawsze budziła w nim dobre emocje — Matka pochodziła z Kainei-Laria.

— Przypadek jakich wiele, ale niektórzy tego po prostu nie mogą zaakceptować. W każdym razie pobratymców Elieilijasa to pan nie przekona. Żaden Kael-Kirian nie dołączy do organizacji stworzonej przez astriada.

— Tak? Chyba się pan zdziwi — rzekł Karen z czymś w rodzaju tajemniczego uśmiechu.

— Z wielką chęcią. Naprawdę z wielką chęcią.

Nagle dołączyła do nich Irianna. Prawdopodobnie uporawszy się z całą przewidzianą robotą, zdecydowała się również dołączyć do dyskutujących.

— A ja prawdę powiedziawszy — oznajmiła, chowając niewielki notes. — Wolałabym, aby nigdy pan tutaj nie przyjeżdżał. Aczkolwiek mogę mieć mocno subiektywny punkt widzenia, ze względu na swoją pozycję.

— Nie dziwię się. — Velirius pokiwał głową ze smutkiem. — Chciałem bardzo przeprosić za wywołane zamieszanie. Zupełnie nie przewidziałem lawiny zdarzeń. Gdybym wiedział, jak wrogo Elieilijas jest nastawiony do półelfów, zachowałbym większą ostrożność.

Kobieta machnęła dłonią zrezygnowana.

— Proszę nie przeproszać. Nie pana wina. Ale wciąż czeka mnie z tego powodu masa papierów do wypełnienia.

W końcu do gromadki podeszła ostatnia osoba, Enerias, miłośnik smokonów. Niestety, zanim zdolał cokolwiek powiedzieć, Velirius oparł się nagle o ścianę, powalony przez kolejny, najsilniejszy atak bólu. „*Mrok! Jest tutaj! Nie daj się zwieść! Jesteście w niebezpieczeństwie!*” krzyczała krew, tętniąc mu w żyłach. Nie sposób było jej zignorować.

„Bogowie...” pomyślał czarodziej, przetrzymując natarcie „To coś musi być niezwykle potężne, skoro tyle razy się upomina”.

Ból w końcu minął. Nim jednak ktokolwiek się odezwał, Velirius ze zdziwieniem zauważył, iż jego dłoń świeci. Oderwał ją więc od ściany i obejrzał dokładnie. Wówczas spostrzegł, że to nie jego dłoń, a sama ściana. Zajaśniała ona nagłym światłem i ku zaskoczeniu wszystkich, przed nimi otworzyło się przejście do zupełnie nowego tunelu. Na podłożu odkrytego korytarzu natomiast widniał jarzący się pradawny symbol ognia.

— Na ziemię! — wykrzyknęła Irianna, rozpoznawszy znak.

Velirius znajdował się najbliżej, nie miał szans zareagować na czas. Przed nieuchronną śmiercią ponownie ocalił ją brawurowy skok Litty, która własnym ciałem przewróciła go na podłogę. Pomieszczenie wypełniła pozioma smuga płomieni, osmalając ściany i pochłaniając po drodze wszystkie wciąż leżące na stołach resztki jedzenia. Same meble zresztą też natychmiast zajęły się ogniem.

Oszołomiony Karen usiadł po chwili na ziemi. Od wybuchu dzwoniło mu w uszach, ale poza tym, dzięki jego ochroniarz, nic mu się chyba nie stało. Musiał co prawda poczekać trochę czasu, zanim wszystkie zmysły ponownie zaczęły prawidłowo reagować.

Nim doszedł całkowicie do siebie, klęknięta przy nim Katrila. Miała poparzoną twarz i osmoloną szatę, lecz rany już otoczyła jaśniejącą na niebiesko uzdrowicielską wodą. Na kobiecie ból chyba nie robił wrażenia, nic dziwnego zresztą, patrząc na zawód, jaki wykonywała.

— Nic ci nie jest? — zapytała, kładąc mu dłoń na czole. Następnie sama sobie odpowiedziała. — Nic. Dobrze. Pozostali niestety nie mieli takiego szczęścia.

Wstała i podeszła do leżącego na ziemi Anarchijczyka. Ten jęczał z bólu, nie potrafiąc nawet podnieść się z podłogi. Uzdrowicielka nie czekając ani chwili, natychmiast się nim zajęła.

— I to właśnie miałam na myśli, mówiąc, iż ruiny nie są bezpieczne — oznajmiła Irianna, usiłując wstać. Ręce jednak miała poparzone i ostatecznie dając za wygraną, usiadła. — Wszyscy cali?

— Veliriusowi nic nie jest. Littcie też nie. Shandarianie byli za daleko. Tym tutaj, już się zajmuję, a do pani podejdę zaraz — odparła Katrila skupiona na pracy. — Więc chyba uniknęliśmy najgorszego.

— Tak. Zaraz... — stwierdziła badaczka, marszcząc brwi. Coś się nie zgadzało. — A Enerias?

Zapadła cisza, którą po chwili przerwała wpatrująca się w wyjście z pomieszczenia Litta:

— On uciekł. Prawie natychmiast po wybuchu — oznajmiła, wprawiając w zdumienie wszystkich obecnych.

— Co? — zdziwił się Velirius, podnosząc się z miejsca. Już ochłonął z szoku. — Tak po prostu nas zostawił? Jesteś pewna?

— Absolutnie. Widziałam.

— Dziwne...

— Ależ wręcz przeciwnie. Naturalna reakcja — odezwała się Irianna, pozwalając się obejrzeć uzdrowicielce. — Nie dziwię się zupełnie.

— Dlaczego?

— Oni boją się ognia. Oni w sensie ci od smokonów. Z powodu tragedii, jaka ich spotkała. To smutne.

— Boją się ognia? Przecież nim władają! — Velirius nadal się dziwił.

— Ogień pod własną kontrolą a ogień pod czyjąś kontrolą to dwie różne rzeczy panie Karen. — Badaczka wstała ostatecznie i poprawiła włosy. — Prosili zresztą o miejsca najdalej od ogniska na wieczór.

Nagle do pomieszczenia wpadło kilku członków ekspedycji, prawdopodobnie zwabionych hałasem. Irianna prędko poinformowała ich o wydarzeniu i wydała stosowne polecenia. Nowe przejście odpowiednio zastawiono i oznaczono, jego badanie zaś przełożono na następny dzień. Osoby ranne zostały natychmiast przeniesione do innych pomieszczeń i poddane opiece medycznej. Na szczęście Katrila okazała się niejedyną uzdrowicielką wśród gości.

Velirius, który dzięki Littcie ponownie wyszedł z opresji bez szwanku, znowu podziękował swojej ochroniarz, a następnie udał się do kwatery. Legł na prowizorycznym łóżku, ukrył twarz w dłoniach i spróbował uspokoić rozbiegane myśli. Napady bólu, próba zabójstwa oraz uruchomienie śmiertelnej prądowej pułapki. Tego dnia miało miejsce więcej budzących skrajne emocje wydarzeń niż w ostatnich pięciu czterdziestodniach. Miał szczerą nadzieję, że nie czekają na niego kolejne.

Leżał tak chwilę, usiłując myśleć o pozytywnych rzeczach, takich jak sukces swojego planu. Niestety jego umysł zupełnie nie chciał współpracować. Wpadł więc na pomysł, aby odnaleźć Katrile i porozmawiać z nią chwilę. Szybko jednak zrezygnował z tej idei. Uzdrowicielka na pewno miała w tym momencie na głowie strasznie dużo roboty. Zrezygnowany usiadł więc na łóżku, wyciągnął książkę i zaczął czytać.

O tym, że zasnął, przekonał się dopiero w momencie, w którym spadł z łóżka, targany okropnym koszmarem. Ponownie śnił mu się moment, w którym mając osiem lat, musiał uciekać przed rówieśnikami w Lenariolenie. Teoretycznie prawo Królestwa Anarchijskiego, pod którego zarządem znajdował się obecnie Lenariolen, nie miało żadnych wpisów na niekorzyść astriadów i traktowało raczej równo

wszystkich obywateli, lecz nie sposób było wypłenić poglądów, które Lenarioleniczcy przekazywali z pokolenia na pokolenie od wieków. Dlatego zresztą matka Veliriusa, obawiając się o życie syna, wysłała go w wieku czternastu lat z dala od Lenariolenu, do Akademii Magii w Ur, stolicy Królestwa Anarchijskiego.

Czarodziej westchnął przeciągle, usiłując podnieść się z podłogi. Dawno nie miał równie rzeczywistego koszmaru. Przewidywał, że postawa Ealiana oraz jego zachowanie rozbudziła głębokie lęki, które niemal już mu się udało zupełnie stłumić. Nic dziwnego niestety, próba zabójstwa odbiła się przecież nawet na najsilniejszych psychicznie osobach.

Ostatecznie uznawszy, iż nie zdoła tak od razu ponownie zasnąć, zdecydował się przejść na krótki spacer na zewnątrz. Świeże powietrze z pewnością pomogłoby mu oczyścić myśli. Wyszedł z kwatery i już miał skierować się bezpośrednio do wyjścia, kiedy w końcu korytarza ujrzał znikający cień jakiejś osoby. Z niemałym zdziwieniem rozpoznał w nim sylwetkę swojej ochroniarz. Dlaczego jednak kobieta miałaby o tej godzinie opuszczać komnatę i iść w stronę sali dyskusyjnej?

Przepełniony złymi przeczuciami mag, zbliżył się do sąsiedniej kwatery, tej z numerem dwadzieścia i zapukał w drzwi. Kiedy zaś nikt nie odpowiadał, wszedł do środka. Litty nie było.

— Herzajjowi — zaklął cicho pod nosem, a następnie ruszył za zgubą — A tej co odbiło?

Cichcem przemierzał pradawne konstrukcje, tak aby nie zbudzić śpiących kolegów po fachu. Kilka chwil później dotarł do pomieszczenia, w którym poprzedniego dnia miały miejsce prawie wszystkie wydarzenia. Przekroczył próg w samą porę, aby zobaczyć swoją ochroniarz znikającą w świeżo otwartym nowym korytarzu.

— Litta?! — wykrzyknął zdumiony, zupełnie zapominając o wcześniejszych próbach zachowania ciszy. — Co ty wyrabiasz na Pana?!

Niestety kobieta zniknęła już w cieniu ruin. Jeżeli usłyszała krzyk czarodzieja, musiała go zignorować. Velirius dopadł do nowego przejścia, lecz zatrzymał się przed nim nieco przestraszony. Nie miał doświadczenia w badaniu konstrukcji pradawnych, nowy obszar mógł się więc okazać dla niego śmiertelnie niebezpieczny. Dla Litty zresztą również. Powinien natychmiast poinformować o wszystkim Iriannę. Z drugiej strony czas ten mógłby spowodować, że jego ochroniarz stałaby się już krzywdą. Czarodziej zaś zawdzięczał jej życie. Dodatkowo taka sytuacja mogła się skończyć niemałym skandalem. A tego Velirius wolał uniknąć. O wiele lepiej by było, gdyby dogonił Littę i przekonał ją do powrotu. Zastanawiał się więc przez chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw, gdy nagle coś mu przyszło do głowy.

„Przecież pewnie właśnie tam jest ów mrok, który wyczuwam. Bogowie... Ona jest w wielkim niebezpieczeństwie! My zresztą również. Czemu wcześniej na to nie wpadłem?!” pomyślał, a następnie impulsywnie podjął decyzję. Przywołał magiczne światło i wkroczył w ciemność.

Przemierzał ruiny szybkim krokiem. Na podstawie krótkiej znajomości ze swoją

ochroniarz przewidywał, iż Litta raczej biegła. Musiał się więc śpieszyć, aby ją dogonić. Z drugiej strony, powinien zachować ostrożność wśród pradawnych ścian. Nie wiadomo jakie inne zaklęcia budowniczowie na nich umieścili.

Kilka chwil później ujrzał przed sobą wojowniczkę. Stała przed rozwidleniem, nie bardzo wiedząc, w którą stronę się udać.

— Litta! — zawołał, zbliżając się do kobiety. — Co cię napadło? To miejsce nie jest bezpieczne. Nie powinnaś tu w ogóle wchodzić!

— Był praworęczny — oznajmiła, chyba zupełnie nie słuchając maga. — Prawdopodobnie poszedł więc w prawo, aktywując po drodze wszystkie pułapki — kontynuowała, jeszcze bardziej powiększając niezrozumiałą aurę sytuacji. Potem dodała — Zawróć Karen. To nie twoja sprawa.

— O czym ty mówisz? — Velirius był zupełnie zdezorientowany. — I czy w ogóle słyszałaś, co powiedziałem...?

Ignorując pytanie, Litta wykonała trzy kroki w mroczny korytarz, odstawiając tym samym wielki pradawny symbol ziemi na ścianie. Zajaśniał on silnym światłem i nagle w suficie pojawiło się rosnące pęknięcie. Nie marnując czasu, wojowniczka rzuciła się do przodu, unikając starcia ze spadającymi kamieniami. Upadła we względnie bezpiecznym miejscu. Velirius natomiast spostrzegłszy zbliżającą się w jego kierunku skalną masę, uniósł dłoń i wypowiedział odpowiednie słowa. Ziemia zatrzymała się nagle, posłuszna woli kontrolującego ją czarodzieja.

— Nic mi nie jest! — zawołała Litta zza oddzielającego ich gruzu. — Naprawdę musisz zawrócić Karen!

Dało się słyszeć dźwięk oddalających się kroków, oznaczających, iż kobieta uparcie ruszyła dalej. Velirius zaklął pod nosem siarczyście. Wojowniczka podwójnie go zirytowała, co jednak tylko zwiększyło jego determinację. Ani myślał posłuchać jej rady. Uniósł ponownie dłoń i wypowiedział słowa. Kamienie poszybowały w górę, powoli usuwając się z drogi. Trwało to trochę czasu, lecz ostatecznie korytarz na powrót stanął otworem. Czarodziej nie czekał, tylko ruszył uparcie przed siebie.

Kilka minut później zapadła zupełna cisza. Mężczyzna z rosnącym niepokojem przemierzał budowlę, wciąż korzystając z przywołanego wcześniej światła.

„Mrok na pewno gdzieś tutaj jest...” pomyślał, rozglądając się co rusz, z obawą przed odkryciem czegoś okropnego „Zresztą z pewnością ostrzeże mnie kolejny atak. Muszę tylko być gotowy...”

Krążył wśród dziesiątek zakrętów i rozwidleń przez kilkanaście minut, lecz nie natrafił na żadne pułapki. Być może Litta również wtedy przechodziła i uruchomiła już wszystkie symbole. Czy w takim przypadku nie powinien jednak dość szybko odnaleźć jej ciała? Wolał oczywiście tego uniknąć...

Ostatecznie zakręcił po raz kolejny i nagle jego oczom ukazała się olbrzymia sala. Była jeszcze większa od tej, w której odbywała się wcześniejsza dyskusja, lecz rozmieszczenie obiektów przedstawiało się podobnie. Sufit podpierały ciężkie kamienne filary, a na ścianach widniały dziesiątki pradawnych symboli, nieaktywnych na szczęście. Na samym końcu zaś, ustawiono duży marmurowy ołtarz, na którym

spoczywał podłużny metalowy kostur, wyglądający zupełnie jak typowa używana przez wielu czarodziei różdżka. Do niej zaś, powolnym krokiem zbliżał się... miłośnik smokonów, Enerias. Karen zamarł totalnie osłupiony, lecz dwie sekundy później otrząsnął się z szoku. Musiał działać.

— Nie dotykaj tego — wykrzyknął, ruszając z miejsca biegiem. — Jest niebezpieczne!

I w tym momencie spadł na niego kolejny atak bólu. Tym razem jednak czarodziej zdążył się na niego przygotować. Skupił się, otworzył umysł, a następnie całym sobą spróbował opanować napływające do niego informacje. Czystej krwi elfom wychodziło to łatwiej. Były o wiele potężniejsze, więc nie odczuwały nawet żadnego bólu, jedynie poczucie zagrożenia. Między innymi dlatego uznawały astriadów za niegodnych owych instynktów. Po co im one skoro przynoszą więcej strat niż zysków?

Otworzył oczy. Świat tonął w przepływającej magii. Znajdowała się ona wszędzie. W otaczającym go powietrzu, skałach, z których pradawni wzniesli swoją budowlę, a także w spoczywającym na ołtarzu kosturze. Eneriasa natomiast, zamiast czystej mocy, otaczała mroczna energia, kotłująca się dookoła jego chudego ciała.

— Na Bezimiennego — powiedział Velirius, zatrzymując się natychmiast. — Mrok nie jest w kosturze... Tylko w tobie!

Enerias bez słowa usunął maskę, za którą ukrywał dotychczas swoje oblicze. Zamiast twarzy jednak ukazała za nią trupa czaszka. Następnie zdjął też rękawiczki. Wśród ciemności pomieszczenia dało się zauważyć same kości. Karen natychmiast pojął. Mężczyzna nie był człowiekiem, a wyzwolonym. Liszem.

— Prawidłowy wniosek astriadzie — oznajmił nieumarły, podnosząc z ołtarza kostur. — Niestety, trochę spóźniony. To nieco zabawne nieprawdą? Ty i elf mieliście cały dzisiejszy wieczór na odkrycie prawdy, ale zamiast tego woleliście się kłócić, skutecznie zajmując siebie nawzajem. Wielka szkoda... Jestem bowiem prawie pewien, że nie stanowiłbym wówczas dla was wielkiego zagrożenia. Teraz natomiast... zupełnie inna sprawa!

— Nie mam złych zamiarów... — rzekł Velirius, ostrożnie wykonując krok do tyłu, w stronę wyjścia.

— Cieszę się niezmiernie, lecz niestety, ja takowe mam. Moja obecność tutaj nie może zostać zauważona. A ty wiesz nieco za dużo. Musisz więc zginąć. Nic personalnego oczywiście. Gdy znajdą cię za kilka godzin martwego, nikogo specjalnie nie zdziwi, że obozowanie w nowo odkrytych ruinach pradawnych skończyło się tragicznie. Rzekłbym nawet, że niektórzy mogli to przewidzieć.

— Kim ty jesteś... — zapytał Karen z rosnącym przerażeniem. Wykonał też następny krok w tył.

— Czy to ważne...?

Velirius zatrzymał się nagle, zrozumiałwszy pewną sprawę. Był temu wszystkiemu winien. Elieilijas próbował kilkakrotnie ostrzec ludzi, że coś jest nie tak, podczas gdy on zignorował ostrzeżenia instynktu, uznając własną sprawę za

ważniejszą. Dalej, zajął całą uwagę Kael-Kiriana dyskusją, gdy ten prawdopodobnie starał się wykryć źródło ciemności. Aż na końcu, to właśnie on otworzył nowy korytarz, pokazując wyzwolonemu drogę do tego miejsca. Nie. Nie mógł tak po prostu uciec.

Machnął dłonią, przywoławszy magiczne symbole. Zajaśniało zielone światło i Karen otoczyły kamienie. Następnie, na kolejne skinienie pomknęły w kierunku przeciwnika.

— Kontrola — powiedział tylko Enerias, wskazując na astriada kosturem. Z różdżki wystrzelił złoty promień, trafiając prosto w cel. Skały zatrzymały się w powietrzu i opadły na podłogę.

— Co u licha...?! — zawołał bezgłośnie Velirius, nie spodziewając się takiego ataku. Nagle nie mógł się ruszyć. Oddychał co prawda, ale wszystkie jego pozostałe ruchy tłumiła jakaś obca siła, zmuszając go do całkowitego posłuszeństwa.

— Naprawdę myślałeś, że ujawniłbym się, nie będąc pewien zwycięstwa? — rzekł lisz z czymś w rodzaju ponurej satysfakcji — Głupiś... Teraz astriadzie, cała twoja magia została użyta przeciwko tobie. Jak się z tym czujesz? Boli? Pewnie nie, aczkolwiek przyjemne też chyba nie jest.

— Przestań...

— Właściwie, to trochę szkoda twojej śmierci — stwierdził nieumarły, podchodząc nieco bliżej czarodzieja. — Zdołałeś mnie nawet przekonać do swojej idei podczas dyskusji. No ale cóż... skoro nie ma wyjścia. — Uniósł dłoń, a otoczyła ją mroczna siła. — Giń.

Ciemność pomknęła w kierunku Veliriusa, natychmiast odnajdując swój cel. Zamiast jednak dopaść go i pozbawić wszystkich sił życiowych, tuż przed jego ciałem odbiła się i rozproszyła, uderzając o ściany.

— Co do diaska... — zawołał zaskoczony lisz, ponawiając atak, z analogicznym skutkiem. W końcu jednakże zrozumiał przyczynę. Na szyi wciąż niemogącego się ruszyć przeciwnika, jaśniał metalowy wisiorek. — Amulet ochrony przed mrokiem? Naprawdę? Powierzasz swoje życie tanim zabawkom? Żałosne. Przebiję tę nędzną osłonę.

Ciemność ponownie rzuciła się na cel, w poszukiwaniu jakichkolwiek ubytków w tarczy, lecz mały przedmiot jaśniał coraz silniej, skutecznie stawiając opór mocom mroku.

— Nic z tego — oznajmił Velirius, odzyskując wiarę. Skupił całą swą wolę na ponownym ruszeniu swojego ciała. — Ten amulet został stworzony przez najpotężniejszego zaklinacza na świecie! Nawet ty nie zdołasz go złamać!

— Przeklęty Elieilias... — nieumarły zaklął głośno, ale opór chyba nie zrobił na nim żadnego wrażenia. — Trudno. Zabiję cię zatem w bardziej zwyczajny sposób. Tym gorzej dla ciebie, bo będziesz cierpieć.

Machnął kosturem, a Karen obrócił się, wziął rozbieg i z hukiem uderzył o ścianę. Nie zdołał się nawet otrząsnąć z bólu, kiedy jego ciało ponownie zerwało się na nogi i pognało w przeciwnym kierunku. Po trzecim zderzeniu dało się słyszeć

dźwięk łamanych kości. Czarodziej prawie zemdlął z bólu.

— Zostaw go!

Zaskoczony lisz puścił maga i spojrzał ku wejściu do pomieszczenia. Trzymając w dłoniach dwa długie miecze, stała tam Litta. Jej postawa wskazywała na pełną gotowość do walki.

— A no tak... — Nieumarły westchnął przeciągle jakby zmęczony pojawiającymi się trudnościami. — Zupełnie zapomniałem o pani ochroniarz. Nie przejmuj się magu. Zaraz do ciebie wrócę.

Mignęły lśniące ostrza, wojowniczką ruszyła biegiem. Przeciwnik natychmiast skierował przeciw niej potęgę kostura. Promień jednak trafił w kobietę, nie czyniąc jej żadnej krzywdy, ani nie powstrzymując jej przed natarciem.

— Oczywiście... — mruknął lisz, kręcąc głową z niezadowoleniem. — Zero magii.

Do boju ruszyła ciemność. Mroczne pociski minęły w ciszy Veliriusa i pomknęły w kierunku Litty. Wojowniczką zatrzymała się nagle i nacisnęła znajdujące się na jej nadgarstku dziwne metalowe urządzenie. Z przedmiotu wystrzeliła jaśniejąca magiczna tarcza, skutecznie blokując kule ciemności. Broniona potęgą kaistlanckiej technomagii kobieta, pokonawszy już prawie połowę pomieszczenia, ruszyła dalej.

— Kimże ty jesteś na Boga Ciemności!? — zawołał lisz zaskoczony, a następnie skierował kostur ponownie w kierunku czarodzieja.

Velirius wstał uniesiony dziwną mocą. Ignorując palący ból, jego ciało posłuszenie wykonywało rozkazy. Machnął kilka razy rękoma i dokończył inkantację. Kamienie wyrwały się ze ścian i utworzyły potężnego skalnego golema, który natychmiast zastąpił drogę wojowniczkę. Kobieta z zaskoczeniem spojrzała na czarodzieja.

— To nie ja! — usiłował krzyknąć Velirius, lecz z jego ust wydobył się tylko niezrozumiały bełkot. — To ten kostur! Może nim mnie kontrolować!

Litta chyba zrozumiała, lecz niewiele w tej kwestii mogła zrobić. Skoczyła, unikając spotkanie z potężną pięścią kamiennego monstrum, a następnie cięła oboma mieczami w jego plecy. Ostrza niestety zsunęły się z głośnym zgrzytem po jego sylwetce, nie czyniąc mu żadnej szkody. Broń okazała się bezużyteczna w walce z takim przeciwnikiem.

Golem odwrócił się błyskawicznie, a następnie ponownie wziął zamach. Wojowniczką znowu wzniosła technomagiczną tarczę, lecz uderzenie rozbiło ją w drobny mak. Oberwawszy prosto w pierś, odleciała do tyłu i grzmotnęła z hukiem w ścianę. Nie dała jednak za wygraną. Podniosła się prędko i wyjęła kolejne dziwne urządzenie. Grzebała przy nim dosłownie dwie sekundy, a potem skierowała je na przeciwnika. Wystrzelił błękitny promień. Trafiwszy przeciwnika w ramię, odrąbał mu ciężką kamienną rękę.

Nie przejąwszy się stratą golem, rzucił się na Littę. Kobieta ponownie skoczyła, unikając ciosu, a następnie podniosła z ziemi urwany wcześniej kawałek kamiennego ciała. Potem, ku zaskoczeniu wszystkich, rzuciła nim w Veliriusa.

Czarodziej oberwał ostro, przewracając się natychmiast na ziemię. W piersi poczuł palący ból, prawdopodobnie cios połamał mu żebra. Jak przez mgłę zobaczył jednakże, iż golem rozpada się z głośnym trzaskiem.

„No jasne...” pomyślał, z trudem powstrzymując utratę świadomości „Podtrzymywanie zaklęcia wymagało mojego skupienia. Sprytny ruch”. Chwile potem zdał sobie sprawę, iż kobieta mogła go przecież trafić w głowę i zabić na miejscu. Przełknął ślinę ze strachem.

— Nieźle — odezwał się nagle lisz, spoglądając na zbliżającą się do niego wojowniczkę. — Niestety, straciłaś chyba swoją obronę.

Uniósł dłoń, a mrok pomknął prosto w kierunku kobiety. Ta ponownie spróbowała aktywować tarczę, lecz uderzenie golema uszkodziło technomagiczne urządzenie z jej nadgarstka. Zaklęła głośno, ale było już za późno. Ciemność ją dopadła. Krzyknęła z przerażenia, po czym zaczęła machać rękoma na wszystkie strony, próbując odegnać otaczające ją cienie.

— Strach... — rzekł nieumarły, podchodząc do przeciwniczki na odległość metra. — Nie zdołasz mu się oprzeć. Będzie męczył cię tak długo, aż biedne serce podda się, opadłszy zupełnie z sił. I wtedy w końcu zrozumiesz, dlaczego lepiej jest być wyzwolonym.

Wojowniczką wierzgała na wszystkie strony, próbując wydostać się z pętającego ją mroku. Jej wysiłki jednak stawały się coraz słabsze i słabsze. Traciła siły.

— Śpij moja droga... Śpij snem wiecznym... — szeptał lisz, gładząc bezradną kobietę po głowie.

Velirius z przerażeniem obserwując tę scenę, spróbował wstać. Niestety kostur w dłoni przeciwnika nadal wskazywał na niego promieniem. Czarodziej poczuł rosnącą irytację. W piersi palił go okropny ból, miał złamaną rękę i do tego zostało mu niewiele magii. Bardziej bezbronny być nie mógł.

„Zaraz.” pomyślał, coś sobie uświadomiwszy „Mało magii. No jasne!”

Skupił się resztką swoich sił, a następnie sięgnął do własnej szyi. Jego ruchy były powolne, wciąż tłumione mocą różdżki, lecz przeciwnik prawie całkowicie o nim zapomniał, czerpiąc wyraźną radość z powolnej śmierci wojowniczki. Ostatecznie, niewiarygodnym wysiłkiem, Velirius dopiął swego.

— Litta! Łap! — krzyknął, a następnie rzucił przedmiotem.

— Co? — zdziwił się lisz, odwróciwszy się nagle w stronę czarodzieja. — Nie!

Było jednak już za późno. Zaklęty amulet trafił prosto w kotłujące się tumany mroku. Zabłyśło magiczne światło. Moc wisiorka natychmiast odegnała cienie. Wojowniczką, znajdującą się niecały metr od przeciwnika, nie czekała ani chwili dłużej. Wyjęła dziwny mechaniczny sztylet i wbiła go prosto w pierś nieumarłego.

— Giń! — krzyknęła, a następnie nacisnęła przycisk na rękojeści. Broń nagle zajaśniała światłem.

— Nie! — ryknął lisz z przerażeniem, próbując za wszelką cenę wyjąć z siebie ostrze, ale gdy dotknął metalu, tylko pogorszył sprawę. Technomagiczne urządzenie wysysało z niego magię, moc, dzięki której trwał przy swojej upiornej egzystencji.

Chwilę później zawył w agonii i rozpadł się na stertę kości. Było po walce.

Litta upewniwszy się, iż wróg nie powstanie nagle z martwych, odwróciła się i podeszła do czarodzieja. Pomogła mu wstać.

— Jak się czujesz? — spytała, zbierając z podłogi swoją broń.

— Mam złamaną rękę a w piersi mnie pali — odparł tamten, usiłując zachować równowagę. Z zaskoczeniem spostrzegł, że nie jest to wcale takie trudne — Ale żyje. Przynajmniej tak sędzę.

— Jesteś magiem. Dasz sobie radę — stwierdziła kobieta bezlitośnie. — A nawet jeśli nie, masz znajomą uzdrowicielkę niedaleko.

— Niewątpliwie... Kim jednak był on? — Wskazał na leżącą na podłodze stertę kości. — I kim u licha jesteś ty? Bo nie wierzę, że wyposażyli zwykłego ochroniarza w drogie technomagiczne urządzenia.

Litta westchnęła i odpowiedziała krótko:

— Im mniej wiesz, tym lepiej.

— Ale mam prawo do tej wiedzy. Beze mnie nie dałabyś rady — upierał się czarodziej. Potem dodał, przewidując prawdę. — A król mi ufa.

Kobieta popatrzyła na niego przez chwilę, lecz w końcu uległa.

— Pracuję dla królewskiego wywiadu, zajmującego się wyzwolonymi. Jak pewnie wiesz, Ostoja Umarłych znajduje się bardzo blisko Kaistlanii, jego wysokości bardzo zależy więc na obserwacji i kontroli owego potencjalnego wroga.

— Tak... — Velirius kiwnął ponuro głową. Potem wskazał na martwego lisza. — A ten tutaj? Kim był?

— Dokładnie? Nie mam pojęcia. Ale wiem, komu służył. Jeśli śledzisz politykę, powinienś słyszeć o Księżycowej Pani.

— Zdarzało mi się... Wampirka prawda? Z Senelatiri. Polityk o bardzo... — Zastanowił się, szukając odpowiedniego słowa. — ...kontrowersyjnych poglądach.

— Łagodne określenie chęci „wyzwolenia” całego świata z życia. Księżycowa Pani ma na szczęście zbyt małe wpływy w Ostoi Umarłych. Obecnie u władzy są jej konkurenci, zwolennicy pokoju. Ale ostatnio nasz wywiad odkrył, iż prowadzi ona pewną działalność na Wyspach Anteor. Podążając tym tropem, trafiliśmy na Ezestee...

— Do ruin pradawnych. Rozumiem...

— Wywiad rzeczywiście przydzielił mnie do twojej obrony. I choć głównie miała być to przykrywka, uważam, że wywiązałam się z obowiązku. Żyjesz.

— Wyzwoleni musieli odkryć, iż w podziemiach znajduje się ten kostur — stwierdził Velirius, gładząc się po brodzie. — I Księżycowa Pani zapagnęła jego mocy. Rozumiem...

— A przynajmniej tak ci się wydaje — dodała Litta, opierając dłonie o biodra. — Ale już nie drąż tematu. Jak mówiłam, im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

— A co z samym kosturem? — spytał czarodziej, spojrzawszy na obiekt. Podłużna metalowa różdżka lśniła lekkim światłem. — Weźmiesz go prawda?

Wojowniczką nie odpowiedziała od razu.

— To artefakt? Dobrze myślę?

— Znalezione w ruinach pradawnych. Metalowy. Aktywowany słowami — Wymieniał mag, wzruszając ramionami. — Spełnia całkowicie definicje. Więc tak, to artefakt. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

— Więc weź go ty.

— Co? — spytał Velirius całkowicie zaskoczony. — Nie powinnaś dostarczyć go do króla?

— Wywiadowi się nie przyda. Nie paramy się magią. A Kaistlania prawie cała została opanowana przez technomagów, nie będą oni nim nawet zainteresowani. Tobie zaś król ufa. I mam wrażenie, że kostur ci się przyda.

— Niby do czego?

— Może cię ów fakt zdziwi, ale słuchałam waszej dyskusji. — Kobieta uśmiechnęła się z rozbawieniem. — I szczerze mówiąc, przekonałeś mnie. To, z czym dzisiaj się mierzyliśmy, jest właśnie wynikiem mieszania się magów do polityki. Jeśli dalej będą tak robić, pojawią się kolejne incydenty. Nie powinni więc. Dlatego uważam, że masz rację. Zajmijcie się magią. Tak będzie dla wszystkich lepiej. Weź go.

— Ja... dziękuję — odparł ostatecznie czarodziej i po chwili namysłu podniósł z podłogi kostur. Był on całkowicie chłodny i sprawiał wrażenie zwykłego kawałka metalu. Nie dało się poznać, jak wielką moc skrywa.

— Jeśli już mowa o dzisiejszych wydarzeniach — zaczęła Litta i podała magowi amulet. — Jak zwinąłeś go Elieilijasowi?

— Wypadł mu — odparł Velirius, przyglądając się przedmiotowi. — Wydaje mi się zresztą, że nie przypadkiem. Ealian chyba tego chciał.

— Dlaczego? Próbował cię zabić, czemu nagle miałoby mu zależeć na twojej obronie?

— Ach, z bardzo prostego powodu. Widzisz... Elieilijas jest Kael-Kirianem w każdym słowa tego znaczeniu. I w tym problem. Zaryzykować karę i spróbować zabić astriada? Jasne. Zostawić ludzi na pastwę ciemności? Nigdy w życiu!

— Trochę... dziwne podejście.

— Nie dziwi, jeśli lepiej poznasz Kael-Kirian. Ludzie zakuli i wyprowadzili Elieilijasa. W skrócie, zrezygnowali z jego ochrony. A elfy nie mogą chronić ludzi na siłę, bo działa to przeciw ich wolnej woli. Tymczasem on wiedział, że ja zostaję. A jako astriad, też wyczuwam mrok. Mógł się cieszyć, że zginę tutaj, ale fakt, iż pociągnie to za sobą ludzi... tego nie mógł zignorować. Więc chroniąc mnie, spróbował chronić ich.

— Kael-Kirianie... — skomentowała Litta i prychnęła pogardliwie.

— Ale wystarczy gadania. Mam dość już ruin. Chcę jak najszybciej wydostać się na powierzchnię. Mnóstwo zresztą roboty przede mną...

— Domyślam się, lecz dasz radę Karen. — Wojowniczką uśmiechnęła się tajemniczo. — W końcu stworzysz swą wymarzoną Gildię Magów.

— Zasadniczo... nie myślałem jeszcze nad nazwą. — Velirius zastanowił się chwilę. — Ale w sumie faktycznie brzmi nieźle. Niech zatem będzie. Gildia Magów.

Ten dzień okazał się jednak całkiem udany...

Velirius Karen zatrzymał znaleziony w ruinach kostur. Po roku natomiast, dzięki pracy czarodziei z wielu krajów, powstała jego wymarzona organizacja – Gildia Magów. Sam Velirius zaś, został mianowany jej pierwszym Arcymagiem.

Litta powróciła do Kaistlanii, aby dalej służyć królowi i przez następne lata odbywała wiele kolejnych misji. Niestety Księżycowej Pani udało się w końcu dowiedzieć przez kogo nie zdobyła artefaktu. Wojownicza zginęła więc, zabita przez nieumarłych, w wieku trzydziestu siedmiu lat.

Katrila wyleczyła Veliriusa z ran otrzymanych w ruinach, a następnie bezpiecznie wróciła do Królestwa Anarchijskiego. Rok później dołączyła do organizacji przyjaciela.

Ealian Elieiljas został przewieziony na Kahvel, aby odpowiedzieć za próbę morderstwa ambasadora. Ród Elieiljasow wykupił go jednak bardzo prędko. Czarodziej wrócił więc na Kael-Kirię. Przez resztę życia, bardzo rzadko ją opuszczał.

Magom biorącym udział w owych wydarzeniach nic się nie stało. Większość zapamiętała je jako zwykłą wycieczkę turystyczną.